Nr. 29. Lwów, Niedziela dnia 17. Marca 1878 r. Tom VI.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

NOWY POMYSŁ ULTRAMONTAŃSKI.

Stańczycy krakowscy nazywani są moderantami przez ludzi koloru księdza Goliana, a przecież dowodzą oni nieraz swoimi pomysłami, że lepszych od nich ultramontanów nie znaleśćby dzisiaj w całej Europie.

Oto ich nowy pomysł: wznieść na Wawelu pomnik Piusowi IX. W tym celu postarali się u władz o pozwolenie zbierania publicznych składek.

Gdyby Stańczycy chcieli wznieść ten pomnik ze swoich prywatnych funduszów, gdyby naprzykład hr. Stanisław Tarnowski pod wrażeniem ostatniej z „Trzech myśli Ligenzy“ chciał sobie urządzić przyjemność, którąby mu w jakikolwiek sposób przypominała fantastyczną scenę z „Legendy“ Krasińskiego i w tym celu zebrawszy składki w prywatnem kole przyjaciół, zabrał się do stawienia pomnika następcy Piotrowemu, jako do roboty czysto-prywatnej, ha, w takim razie przyjęlibyśmy to do wiadomości, jako rzecz ciekawą i oryginalną, jak np. przyjęliśmy zapis pana Kalickiego na nabożeństwo żałobne za duszę królowej Bony, i nie podnosilibyśmy głosu przeciw temu, nie znajdowalibyśmy nawet, że myśl umieszczenia pomnika na Wawelu, jest niestosowną, bo dlaczegożby nie miał stać Pius IX. tam, gdzie stoi Włodzimierz Potocki? Zostawałoby tylko życzyć, aby równie znakomite dłuto, jeżeli to możebna, jak dłuto Thorwaldsena, uwieczniło rysy zmarłego papieża i ozdobiło nam katedrę.

Ale nie! Stańczycy nie chcą mieć zasługi fundatorów, a tylko agitatorów; nie chcą stawiać pomnika, któryby był wyrazem ich prywatnych uczuć i funduszów, a chcą stawiać w imieniu narodu i za narodowe pieniądze. Otóż to jest, przeciwko czemu musimy wystąpić.

Zadajmy sobie proste pytanie: z jakiej racyi miałby naród polski stawiać pomnik Piusowi IX. w swoim Panteonie?

Czy może naród nasz jest bardzo bogaty, powznosił już posągi wszystkim swoim wielkim ludziom, i szuka teraz obcych dobroczyńców, aby i ich pamięć uczcić kamiennymi kształty? Czy tak jest proszę spojrzeć dokoła. Z wyjątkiem Kopernika, któregośmy uczcili posągiem i to głównie dla tego, aby zadokumentować w obec Niemców przynależność jego do Polski, i za wyjątkiem Kościuszki, któremu lud usypał mogiłę, będącą zresztą nie tyle pomnikiem, ile granicznym kopcem między starą a nową Polską, za wyjątkiem tych dwóch, żaden z naszych prawdziwie wielkich ludzi, nie doczekał się narodowego pomnika: ani Zamojski, ani Konarski, ani Mickiewicz, ani Chopin, ani wielu innych. A stało się to nie dla tego, żebyśmy należytą czcią nie otaczali pamięci tych ludzi, ale żeśmy bardzo ubodzy, że strasznie dużo mamy do pamiętania o żywych, i że wolimy opóźnić się z dopełnieniem obowiązku względem przeszłości, jak względem przyszłości.

Ale może Pius IX. dokonał coś takiego dla Polski, co go stawia nieskończenie wyżej od wszystkich bohaterów narodowych i daje mu pierwszeństwo przed nimi na Wawelu?

PiusI X., zaiste, sprzyjał Polakom i występował w obronie kościoła katolickiego w Polsce. Ale co się tyczy naprzód tej obrony, to należała ona do jego urzędu, była jego obowiązkiem, i gdyby jej zaniedbał, musiał by się narazić na miano złego pasterza. Leżała ona przytem nietylko w interesie Polski, ale przedewszystkiem w interesie władzy papieskiej, była obowiązkiem tej władzy względem samej siebie, a nie wyłącznie skutkiem platonicznego rozmiłowania się w narodzie polskim. Prawda, Pius IX. sprzyjał Polakom, jeden to tylko więcej dowód, że był uczciwym człowiekiem, bo tylko uczciwy zdolny sprzyjać słabym, ale czyż wszystkim, którzy nam sprzyjają, mamy stawiać pomniki na Wawelu? Wiktor Emanuel także nam sprzyjał, a Napoleon III., nie tylko sprzyjał platonicznie, ale gotował się nawet do dobycia oręża na naszą obronę w r. 1863, a potem nie dał umrzeć z głodu kilkunastu tysiącom emigracyi polskiej. A przecież nikomu, chwała Bogu, na myśl nie przyszło stawiać pomnik Napoleonowi III.

Więc może postawienie pomnika Piusowi IX. ma być dla narodu jakąś manifestacyą polityczną? Ale jaką? Potrzebujeż naród polski dowodzić światu, że jest katolicki, i że się nie da nakłonić do schyzmy? Byłoby to tak samo, jak gdyby jakiś człowiek o nic nie podejrzywany, chodził po ulicach miasta i wołał: Wierzajcie, jestem uczciwy, nic nie kradłem i kraść nie będę.

Nie, naród polski nie ma najmniejszej przyczyny do stawiania w Panteonie swoim pomnika Piusowi IX., którego pamięć uczcił już dostatecznie. Ale nastręcza się pytanie, jakie szczególne pobudki mogły natchnąć ultramontanów krakowskich tak oryginalnym pomysłem?

Zdaje się, że je zgadujemy. Pius IX. był nie tylko obrońcą kościoła katolickiego w Polsce, ale zarazem i powagą, która położyła podpis na Syllabusie, to jest na tym smutnym dokumencie, który wypowiedział wojnę na śmierć wszystkim liberalnym dążeniom wieku, wszelkiej swobodzie myśli. Jeżeliśmy zgadli, to nie o Piusa tu chodzi, nie o przyjaciela Polski, ale o uczczenie systemu pragnącego zawrócić prąd nowożytny do niepowrotnej ciemnoty wieków średnich, o symbol kamienny Syllabusa, którym wstecznicy i bigotki krakowskie w naiwności swojej chcieliby zagrodzić drogę nieprzepartemu prądowi wolnej myśli.

Szkodliwa, ale daremna praca. Prąd liberalny obiega dziś całą Europę od Spartivento aż do Nordcapu, obiega i panuje wszędzie. Jest jedno tylko państwo, które nie chce tego prądu uznać, które walczy z nim i radeby go zadławić w całej Europie, gdyby tylko miało siły potemu. Ktoż nie zgaduje, że mówimy tu o Moskwie. Ultramontanie krakowscy! wasz symbol kamienny, to krucha podpora w walce z prądem liberalnym. Jeżeli chcecie mieć jakieś pewniejsze szanse zwycięstwa, to nic wam nie pozostaje, jak tylko rzucić się w objęcia schizmatyckiego kolosu.

MIĘDZY LUDŹMI.

POWIEŚĆ

przez

BOLESŁAWA PRUSA.

(Ciąg dalszy.)

III.

Jaś zaczyna dziwić matkę.

Synek wdowy, wydobywszy się z żelaznych uścisków pedagogiki pana Piotra, i włożywszy nowe ubranie, szybko począł się rozwijać. Przy gościach wprawdzie, tudzież w stosunkach z dziećmi pana Anzelma, pozostał i nadal nieśmiałym. Za to jednak znalazłszy się sam z matką, ciężkiego nieraz nabawiał ją kłopotu.

Miał lat siedm skończonych, rwał zęby przy pomocy nitki i klamki, i dość już wprawnie czytał, kiedy nagle napadła go szczególna mania. Począł on po pokoiku swej matki chodzić wielkimi krokami, jak pan Anzelm, a nadewszystko mówić do siebie głośno, czego już pan Anzelm nie robił.

Najciekawsze było to co mówił:

— Będę miał bas..., będę miał bat..., będę miał bąk..., będę miał dom...

Usłyszawszy to matka struchlała.

— Co ty wygadujesz chłopcze?.. — krzyknęła załamując ręce.

— Albo to mama nie wie? — odparł. — Przecież bat, to się robi z kija i ze sznurka, a bąk, to jest taki okrągły z dziurką....

— No dobrze, ja rozumiem... ale po co ty to mówisz?

Na to już Jaś nie umiał odpowiedzieć. W gruncie rzeczy, gadanina jego była pierwszym brzaskiem budzącej się myśli i wyobraźni. Chłopiec czytał w elementarzu wyrazy dla wprawy, a tam gdzie zwykle dzieci widzą tylko chaotyczną gromadę czarnych znaków i niezrozumiałych dźwięków, on widział przedmioty i obrazy. To ćwiczenie kiełkujących się zdolności psychicznych robiło mu wielką satysfakcyę, i dla tego nie zważając na przestrach matki prawił dalej swoje:

— Będę miał bat..., będę miał bąk..., będę miał...

Nagle urwał i zapytał.

Tym razem matka nie umiała mu odpowiedzieć.

— Czy to jest drewniane, czy jakie inne?

— Ale gdzież tam!.. Ach, jakie ja mam zmartwienie z tobą, moje dziecko...

Czekały ją jednak większe, szczególniej z zakresu geografii i astronomii.

Pewnego razu pani Wincentowa tłómaczyła dzieciom swoich chlebodawców kształt ziemi. Czworo tych głuptasków, z których jedno patrzyło w sufit a drugie na podłogę, z najlepszą wiarą i bez żadnych zastrzeżeń przyjęły do wiadomości zdania: że ziemia jest okrągła i że się obraca na około słońca. Jaś, czem innem zajęty, słyszał to z boku, a gdy wieczorem, znalazł się z matką w pokoiku, rzekł:

— To wszystko musi być bajka!..

— Co takiego? spytała matka.

— A to, żeby tam ziemia była okrągła — odparł Jaś. — Żeby była okrągła, toby z niej ludzie pospadali. Wiem przecież, bom nieraz właził na stóg i zawsze z niego zlatywałem.

— A tyś tam po co łaził, niedobre dziecko? — zgromiła go matka — lecz opamiętawszy się dodała:

— Widzisz, ziemia jest większa... ho!.. ho! ile razy większa od stogu...

— Gdyby była większa od stogu, toby ludzie jeszcze prędzej pospadali... eh!... pozabijaliby się nawet.

Na takie dictum umilkło biedne matczysko, nie mogąc wybrnąć z pośród tych dziecinnych zarzutów i nie podejrzywając nawet, że to niespokojne i tak zabawnie rozumujące powątpiewanie zdradza zawiązek niepospolitego umysłu.

Jaś miał nadzwyczaj silną wyobraźnię. Pewnego razu usłyszał od parobków, że na księżycu, w czasie pełni, widać chłopa, który gnój nakłada. Odtąd, ile razy zdarzyła się sposobność, leżał, po całych wieczorach na ziemi, z twarzą do księżyca zwróconą. Widywał on wówczas mnóstwo rzeczy; raz, że księżyc toczy się jak koło po obłokach, to znowu, że pod powierzchnią jeziora jest drugi księżyc i drugie niebo, to znowu, że z ponad wód i łąk wilgotnych, unoszą się jakieś olbrzymie widziadła, w długich powiewnych szatach... Chłopa jednak na księżycu zobaczył dopiero przy końcu lata.

Jednego wieczora, spacerujący po ogrodzie państwo Anzelmowie usłyszeli krzyk dziecięcy.

— Fornalu! fornalu!..

Napróżno jednak zapytywali go: co to znaczy?

Zawstydzony chłopak uciekł i dopiero w parę godzin powiedział matce:

— Bo to widzi mama, dlaczego ja chodzę, a lalka nie chodzi, chociaż ma nogi i jest do mnie podobna?

— A bo widzisz, moje dziecko, ty masz duszę a lalka jej nie ma.

— A co to jest dusza?...

Matka zamyśliła się i przywoławszy na pomoc katechizm księdza Putiatyckiego odparła:

— Dusza... dusza jest to, co w twojem ciele myśli i niem rządzi...

— Przecież to ja sam myślę, nie żadna dusza!

Pytanie to trapiło go i chciał się koniecznie dowiedzieć, jak wygląda dusza? Szczęściem nadeszło wkrótce Boże Narodzenie, a gdy Jaś zajrzał do kuchni, gdzie oprawiano ryby, klucznica, podając mu jakiś podwójny pęcherzyk, rzekła:

— Naści Jasiu rybią duszę... Strzel sobie z niej!

Jaś miał wielką ochotę włożyć duszę w lalkę; zmiarkowawszy jednak, że ryba co innego a lalka co innego, nacisnął pęcherzyk nogą i strzelił.

Na drugi dzień świąt przyjechał do państwa Anzelmów miejscowy proboszcz. Siwy jak gołąb starowina, wziąwszy w lewą rękę tabakierkę, w prawą ogromny fular, zebrał około siebie dzieci i egzaminował je z religii. Pytał ich: kto świat stworzył?.. jak się nazywali pierwsi rodzice?.. na co Pan Bóg ludzi stworzył?.. Jaś na wszystko odpowiadał najgorzej i najbojaźliwiej; dopiero usłyszawszy frazes: co to jest dusza? — krzyknął: — Ja wiem!

— Bardzo dobrze!... bardzo ładnie! — chwalił go proboszcz. No, powiedz już powiedz... bo ci języczek widzę ucieknie.

Oczy Jasiowi świeciły się jak węgle.

— Dusza — rzekł z wielką pewnością siebie — to takie co strzela!

Starowina usłyszawszy to, podniósł do góry obie ręce z chustką i tabakierką i zdziwiony zawołał:

— Jezus! Marja! A od kogożeś ty się o tem dowiedział?..

— A od klucznicy, proszę księdza proboszcza, jak ryby oprawiała.

— Moje dziecko!.. moje dziecko!... — mruczał poczciwiec, kręcąc głową. — Potem zażył tabaki, raz, drugi raz, utarł nos powoli i systematycznie i egzaminowi dał pokój, ku wielkiej uciesze dzieci.

Pani Wincentowa załamała ręce, ale za to pan Anzelm śmiał się tak, że aż mu oczy na wierzch wychodziły.

— Jaki to będzie feecjonista z tego chłopca!.. — mówił, całując Jasia w jasne kędziory.

Wszystkiego tego nie słyszała jedna tylko pani Anzelmowa. Myślała ona o swoich nerwach i o tem: czy eteryczny Wiesław Różyc ożeni się z Cecylją?

Mimo to egzaminowe niepowodzenie, Jaś był ogromnie zdolnym chłopcem. Mając dopiero lat dziesięć, strugał drewniane pałasze i łuki dla synka państwa Anzelmów, tudzież czółenka z kory sosnowej dla ich córek. Rozumiał on dobrze budowę młyna, tartaka, i małego ściennego zegara; tego tylko nie mógł pojąć, z jakiej racyi jedna skazówka posuwa się prędzej, niż druga.

W arytmetyce robił zadziwiające postępy; wymyślił sobie bowiem sposób wykonywania trzech pierwszych działań na ziarnkach fasoli, przy pomocy której nauczył nawet starszego od siebie Józia niesłychanie trudnej rzeczy, to jest tabliczki mnożenia. Odtąd ile razy dzieci nie mogły czegoś pojąć, pani Wincentowa tłómaczyła to naprzód Jasiowi, a on im za pomocą własnych przykładów, odznaczających się prostotą i jasnością. To też pan Anzelm, widząc to nieraz mówił do Jasia:

— Chłopcze! ty będziesz wielkim człowiekiem.

Z pośród małych towarzyszy swoich, Jaś najbardziej lubił Antosię. Bo też w tej republice dziecięcej oni oboje najskromniejsze zajmowali stanowiska. Jaś jako syn guwernantki, Antosia zaś jako najmniej pieszczona przez swoich rodziców.

Pewnego razu, dzieci te nader charakterystyczną przeprowadziły między sobą rozmowę.

— Czem byś chciała być? — spytał Jaś.

— Chciałabym być Manią!.. — odparła Antosia. — A ty czem?

— A ja furmanem.

Mania była siostrą Antosi, najbardziej kochaną przez matkę; Jaś znowu, bawiąc się z Józiem, zawsze pełnił obowiązki konia. Okoliczności te tłomaczą nam życzenia obojga.

Za to Jaś najwięcej zabawek dostarczał Antosi. Raz nawet zrobił jej kołyskę dla lalki; na nieszczęście jednak lalka miała pół łokcia długości, a kołyska ledwo kilka cali.

— Trzeba ją zepsuć! — rzekł zmartwiony Jaś, biorąc kołyskę.

— Dajże pokój! — zawołała Antosia. — Przecież lalka może mieć dziecko.

— A prawda!..

Istotnie na drugi dzień, dzięki pomocy służącej, urodziło się dziecko, złożone z mnóstwa gałganów i waty. Jaś pilnie mu się przypatrywał.

— Co to jest? — spytał, pokazując na jedną połowę ciała nowonarodzonego.

— To przecież głowa!

— A gdzież ręce?

— Ona nie ma rąk, tylko koszulę. Sprowadzono kołyskę, lecz okazało się, że głowa lalki jest za szeroka. Ponieważ Jaś się znowu zmartwił, Antosia więc zaproponowała mu, aby wyrysował nos i oczy, co też wykonał, mocno przy tej okazyi obracając językiem.

Przyjaźń dzieci tych była tak wielka, że Jaś postanowił nawet podzielić się z Antosią niesłychanie ważną tajemnicą.

— Chodź — rzekł do niej — pokażę ci gniazdo.

— Gniazdo?.. zawołała klasnąwszy w ręce.

— Ale nie powiesz nikomu? — spytał uroczyście.

— Nie!.. jak mamę kocham...

Poszli do ogrodu, gdzie jeszcze kroplista rosa siedziała na liściach, tworząc mnóstwo tęczowych kręgów. W powietrzu czuć było upajającą woń jaśminu, rozlegał się pomięszany świegot ptaków, a tu i owdzie brzęk pszczół i cirkanie koników polnych.

— Czy to prawdziwe gniazdo? — pytała zaciekawiona dziewczynka.

— Rozumie się.

— A małe ptaszki tam są?

— Jakżeś chciała?... Muszą być.

W jednym z krzaków zaszeleściło coś.

— Może to tu?.. — dowiadywała się Antosia. — Możeś ty zapomniał?

Jaś, zamiast odpowiedzi, poważnie wstrząsnął głową.

Doszli do klombu rosnącego w kącie ogrodu. Jaś zatrzymał się, przykląkł, i ostrożnie odchylając gałązki, szepnął:

— Cicho!..

Antosia schyliła główkę i położyła palec na ustach.

— Widzisz? — spytał Jaś.

— Widzę — odparła — ale nie wiem gdzie...

Jaś wskazał palcem.

— Ach!.. — krzyknęła zachwycona.

O łokieć od niej na ziemi leżało szare gniazdeczko, a takie okrągłe i gładkie jakby ulane. W środku był wklęsły materacyk z końskiego włosia i puchu, a na nim maleńki ptaszek. Był on jeszcze czerwony i bez pierza; miał zarośnięte lecz wypukłe i duże oczy, a jeszcze większy brzuszek. Usłyszawszy szmer koło siebie, podniósł główkę, a żółty dzióbek otworzył tak szeroko, jakby chciał połknąć Antosię.

— Jeść chce!.. — zauważył Jaś.

W tej chwili, nad głowami dzieci, usiadł ptaszek już dorosły. Poruszył parę razy ogonkiem, popatrzył na ciekawskich najprzód prawem okiem, później lewem, a w końcu zaczął piszczeć żałośnie.

— Odejdźmy — rzekł Jaś. — Matka przyszła go karmić.

Antosia wracała do domu bardzo zamyślona, a w kilka godzin potem, spytała:

— Jasiu! nie możnaby Mani pokazać gniazda?

— A nie!

— A Józiowi także nie?

— Rozumie się! Józio by zaraz gniazdo zepsuł.

Antosia rzeczywiście dochowała tajemnicy, lecz na nieszczęście postanowiła zaopiekować się ptaszkiem. Nic zatem nie mówiąc nikomu wzięła nad wieczorem garść okruchów chleba i hojnie nakarmiła nim gołego malca. Skutkiem tego, gdy dzieci na drugi dzień przyszły odwiedzić go, przekonały się, że biedny ptaszek już nie żyje.

— Ach Antosiu! — zawołał Jaś — toś pewnie ty temu winna?

Dziewczynka zalała się łzami. Jaś wziął do ręki martwe pisklę, które było jakieś pomarszczone i zimne i szepnął:

Cóżeś ty był nam winien, biedaku!..

W oczach łzy mu się zakręciły.

— Nie mów tak Jasiu! — prosiła go zmartwiona dziewczynka, a potem dodała prędko:

— Możemy mu za to pogrzeb wyprawić...

— Cóż jemu z tego przyjdzie?

— Ja włożę go w kołyskę, tę coś mi dla lalki darował, ty mu zrobisz krzyżyk...

— Daj pokój! — przerwał Jaś. — Myśl lepiej o tem, że będziemy mieli zmartwienie.

— Przecież nikt nie wie...

— Nie bój się! Pan Bóg wie dobrze i jeszcze mnie skarze za to, żem ci gniazdko pokazał...

. . . .

Miałżebyś o Panie! szukać pomsty nad nim za śmierć ptaszego pisklęcia?.. Miałożby być prawdą, że chleb obcą podany ręką zamienia się niekiedy w truciznę?

. . . .

Oboje wrócili do domu w nastroju bardzo poważnym. Jasiowi zdawało się, że ktoś za nim chodzi, Antosi znowu, że wszyscy mają twarze zachmurzone i gniewne. Nie mogła biedaczka wytrzymać, powierzyła więc Mani swoje strapienie. Mani również zaciężyła tajemnica, szepnęła o niej Józiowi, który z wielkim śmiechem ogłosił publicznie. Sprawdziła się wówczas przepowiednia Jasia o zmartwieniu. Pan Anzelm bowiem usłyszawszy o co idzie, zrobił ogromny hałas, począł tupać nogami, kazał przynieść siekierę, w celu ucięcia głowy Jasiowi i Antosi, a wreszcie postawił ich w kącie.

IV.

Jaś wraz z matką jadą na własny chleb.

Po deszczu nastąpi pogoda, po nocy dzień, po zmartwieniu radość, po pracy odpoczynek, po dostatku ubóstwo. Wszystko to widać od obrotu ziemi na około osi, jak mówił mój wuj, człowiek wielkiego serca i filozoficznego umysłu.

To też, mój przyjacielu, gdy masz zmartwienie, ciesz się; znak to bowiem nieomylny, że wkrótce będzie dobrze; smuć się raczej wówczas, gdy jesteś zupełnie szczęśliwy, bo na świecie nie ma nic trwałego! Jest to znowu pogląd mojej babki, świętobliwej kobiety, która wiele w życiu zaznała, ba! widziała Napoleona...

Nie myślę ja wam spokoju zakłócać, o wy! którzy spoczywacie w grobach tak odległych. Chcę tylko, aby wiedziano, żem nie zakopał w ziemi, jak bojaźliwy sługa groszów wdowich, któreście ku pożytkowi zostawili.

Pani Wincentowa za długo była szczęśliwa, bo prawie trzy lata. Rychło też los się odwrócił. System gospodarski pana Anzelma, oparty na czytywaniu artykułów wstępnych, opłakane wydał owoce. Długi rosły, dochody zmniejszały się, a w końcu zacny facecjonista, dla zaspokojenia wierzycieli, i pozostawienia dzieciom uczciwego nazwiska, sprzedał swój duży majątek i wziął się do kilkuwłókowej dzierżawy.

Smutne to były dnie, kiedy ze starego dworu, który jeszcze dziad wybudował, poczęto wynosić sprzęty i wyprowadzać do nowej siedziby. Nie było godziny, żeby coś nie zaszło. To opustoszał salon, to pan Anzelm swojej guwernantce resztę pieniędzy zapłacił, to znowu uprosił ją, aby wzięła sobie garczek masła, trochę mąki i krupek.

O gdybyście wiedzieli, jak się też jej biedaczce serce ściskało przy odbieraniu tych żałobnych podarków.

Nareszcie wyjechała ostatnia fura z rzeczami, za nią poszły dwa woły, poruszające nieustannie gębami, psy podwórzowe, z których jednego trzeba było aż w worek włożyć, tak jechać nie chciał. Na folwarku pojawili się jacyś ludzie obcy, a przed ganek zajechała jakaś wielka landara i bryczka. Pożegnawszy się kilkakrotnie, wygnańcy poczęli wsiadać. Józio skoczył na kozieł, trzy dziewczynki umieściły się na przodzie landary, a na przeciw nich pan Anzelm i jego małżonka z drugim tomem jakiej najświeższej powieści, której w domu dokończyć nie mogła.

Do bryczki siadła pani Wincentowa wraz z Jasiem.

Gdy już furman strzelił z bata i konie ruszyły, pan Anzelm nagle zawołał:

— Zaczekaj no!...

Wyskoczył z landary i wbiegł znowu do pustego dworu. Po chwili zobaczono go w kancelaryi, w pokoju dziecinnym w salonie... Zdawało się, jakby czegoś szukał; może szczęścia które go opuściło?..

Ktoś bliżej stojący, słyszał, że pan Anzelm coś mówił; może być, że zapraszał cienie przodków, aby opuściły stary dwór dziedziców i przeniosły się wraz z nim pod słomianą strzechę dzierżawcy.

Panu Anzelmowi tymczasem zdawało się, że z gładkich obnażonych ścian wyrastają niewidzialne ramiona, aby go pobłogosławić i na drogę uścisnąć. Wówczas uczuł, że się ztąd nie wyrwie chciał bodaj umrzeć w tych uściskach!... Ale przyszły mu na myśl dzieci, więc znowu wrócił do landary i kazał jechać. Przez małą milę biegła za powozem i tak dojechali aż do murowanej, walącej się kapliczki. Tu droga się rozwidliła we dwie odnogi, z których jedna szła ku szosie wiodącej do Warszawy. Powóz znowu stanął i w jednem z jego okien ukazała się okrągła twarz pana Anzelma.

— Hop! Hop!.. — krzyknął. — Bywajcie tam zdrowi!...

— Niech was Bóg prowadzi! — odpowiedziała wdowa.

W landarze zrobił się jakiś ruch. Niebawem wygramolił się z niej szlachcic i przybiegł do bryczki.

— Moja pani — mówił ściskając wdowę

w objęciach — niech cię Bóg błogosławi! A jeżeli ci tam będzie bardzo źle, to wróć do nas. Znajdzie się jeszcze choć suchy kawałek chleba dla wszystkich.

Następnie zwrócił się do Jasia:

— A ty, chłopak, ucz się i słuchaj matki... Jeżeli zostaniesz kiedy wielkim człowiekiem, zrób mię choć stróżem. Będziesz wtedy stawiał mię w kącie tak, jak ja ci to nieraz robiłem... A co pani, prawda, że dobry koncept?..

Mówiąc to, śmiał się grubym głosem, a jednocześnie po ogorzałej i zakurzonej twarzy łzy mu spłynęły. Tymczasem w landarze Mania narzekała, że jej źle siedzieć, Józio prosił furmana, ażeby mu dał lejce, Antosia, szlochając, patrzyła na bryczkę a pani Anzelmowa, trzymając na kolanach drugi tom zaczętej powieści, przymknęła zapadłe oczy i z błogim uśmiechem rozmyślała: co też zrobi Ernest, zdradziecko opuszczony przez Łucyę?...

Nareszcie ruszył powóz w prawo a bryczka w lewo. Wdowa i Jaś długi czas spoglądali za odjeżdżającymi, których stopniowo długi, wijący się jak wąż tuman płowego kurzu zasłaniał. W końcu tuman znikł i zostali sami, mając do koła siebie pola okryte więdniejącem ścierniem i pajęczyną zasnute, a nad sobą miłosiernego Boga, bez którego woli nie zerwie się ani wątła sieć pajęcza, ani wątlejsze od niej nici ludzkiego szczęścia.

(C. d. n.)

PODRÓŻ NA OKOŁO... KRAKOWA.

I. KATEDRA NA WAWELU.

(Dokończenie).

Najmniejszy zabytek Westminsteru jest nagrodą wielkich zasług obywatelskich; jedynie naród i opinia publiczna upoważnioną jest do wydzielania tego zaszczytu. Czemuż nie tak u nas?! Gdy jednakże rozglądamy się po przeciążonych pomnikami ścianach wawelskiej świątyni, czyż nie spostrzegamy olbrzymiej luki w uczczeniu wielkości narodowych?! Rozum stanu, bohaterstwo, możność i zaszczyty ziemskie: są tam licznie reprezentowane. Czemuż książęta myśli i ducha nie mieliby spocząć obok książąt krwi?... Jeżeli już nieprzezwyciężone przeszkody nie dozwoliłyby złożyć w kryptach Wawelu zwłok wielkich naszych wieszczów, tej trójcy niezrównanej: Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, opromieniających naród nasz taką gloryą, owego geniusza naszej melodyi: Szopena, którym równie Francya się szczyci, czemuż przynajmniej nie uczcić ich pomnikami jak Skargę, tego innego olbrzyma, w nawach świątyni? Nie rozpaczajmy nad ofiarnością czującego dumę narodową ogółu tyle w naszych oczach działającego; czemuż i to *pium desiderium* nie miałoby kiedyś oblec się w szatę rzeczywistości.

Jakże bo i nie uznać, jeśli w dobrej myśli, bez szukania rozgłosu i chluby osobistej, pojedyńczy obywatele nie szczędzą ofiar i zabiegów, aby utrzymać w należnym stanie tę pamiątkę narodową i powiększać jej skarby. Cześć i poszanowanie tym rodzinom, które pojmując obowiązki obywatelskie, mając ku temu możność, wiele czynią, a mało szukają rozgłosu. Ich to głównie staraniem dokonano wielu restauracyi i ich ofiarnością skarbiec pomnaża się. Podziwialiśmy świeżo pyszne aparata w stylu romańskim, odpowiadające krypcie św. Leonarda, dla której zostały z taką hojnością ofiarowane, nowy wielki krzyż srebrny gotycki (crux processionalis) pięknej roboty. Nazwiska ofiarodawców musimy tu przez dyskrecyę zataić.

Największy jednakże udział w tych restauracyach na wielką skalę, trzeba przyznać, brała dotychczas sama kapituła. Sejm krajowy dostarczył raz 3, obecnie 7 tysięcy reńskich na sprawy ogólne konserwatorskie. Ale czemu przypisać obojętność wielkiej rzeszy członków społeczeństwa dla tak ważnej sprawy?... Czemu milczące ustępstwo względem ofiarniejszych, dobrowolne jakby zrzeczenie się tytułu własności? Czemu kapituła, kilka zaledwie rodzin znanych z ofiarności, kilku członków pojedyńczych krząta się koło restauracyi wielkiego pomnika, a po zatem: mało kto wie o dokonywanych tam pracach. Nadaje im to jakieś *air de famille*, a czyjaż w tem wina? Zaprawdę: poczucia obowiązków obywatelskich nie słowami, ale czynami jedynie dowieść można. Restauracye te choćby ze względu na same zabytki sztuki, a nie już pamiątek, obowiązywać winny całą wykształconą społeczność. Małe datki a liczne więcej, jak wiadomo, stanowią, niżeli hojne ofiary pojedyńczych członków. „Kraków, mówi przysłowie, nie odrazu zbudowano“; Wawel możnaby powiedzieć, nie jedne ręce, nie jedne rodziny i niejedna prowincya, wzniosły. *A bon entendeur salut!*

Możnaby także i zarządowi tych robót restauracyjnych zrobić zarzut: dlaczego ogół jest tak mało o tem poinformowany i dopiero *post factum* dowiaduje się o pracach dokonanych?... Dlaczego ta tajemniczość? Gdzież skarbonki na ofiarę publiczną, kto jest upoważniony do zbierania funduszów? Wszakże na całym świecie w ten sposób, a nie inny, dokonywają się restauracye i wznoszenia pomników publicznych.

Jakich rozmiarów dochodzą prace około restauracyi katedry na Wawelu i o ile przewyższają siły pojedyńczych członków społeczeństwa, choćby najofiarniejszych, w krótkich słowach będziemy starali się tu podać, a ponieważ cyfry są najwymowniejszemi i *par excellence* językiem XIX wieku, kilka ich tu zestawimy.

W przeciągu ostatnich lat kilkunastu kapituła własnym kosztem pokryła całą katedrę nowym miedzianym dachem, dała nowe kamienne futryny i okna w całej świątyni; koszt tego wynosił 60000 reńskich przeszło.

Restauracyi grobowca Władysława Łokietka, Kazimierza W. i kaplicy Sto Krzyzskiej z pięknymi pomnikami Władysława J. i Kazimierza J., z odmalowaniem całej kaplicy według dawnych śladów w stylu bizantyjskim, daniem nowej, mozaikowej posadzki etc. etc., dokonano za konserwatorstwa pełnego zasług około pomników Krakowa, p. P. Popiela. Szkoda tylko, że jednocześnie nie usunięto z kaplicy tej pomnika biskupa Sołtyka, tak dysharmonizującego z pięknymi pomnikami Stwosza i nieznanego mistrza, oraz z całością kaplicy.

Kaplicy Zygmuntowskiej restauracyę znacznie już posunął był nieodżałowanej pamięci ks. Julian Złowocki, proboszcz tej kaplicy; odczyszczono wszystkie pomniki i ściany, cudnie w stylu renesansy rzeźbione, przy której to sposobności dr. Andrzej Baraniecki własnym swym kosztem kazał zrobić gipsowe odciski wszystkich piękniejszych motywów. Obecnie rozpoczęto dawanie nowej latarni kopuły, gdyż ta jest zupełnie zrujnowaną, oraz odnowienie złoceń i portalu.

Kaplica Batorego czyli Cyborium, której kosztorys restauracyjny sam wynosi przeszło 10000 złr., a na to funduszów dotychczas jest parę tysięcy, jest w trakcie odnawiania. Piękne, z czarnych i różnokolorowych marmurów ściany, loża królewska etc., są już w części odszlifowane; pomnik Batorego, dzieło Santi Guci'ego, grożący niedawno zawaleniem, jest nowymi fundamentami opatrzony.

Z królewskich kaplic pozostaje jeszcze do zrestaurowania kaplica Wazów i Jana Olbrachta, najbardziej ze wszystkich dotychczas zaniedbana. Z innych: kaplicę Gamrata kapituła sama odnowiła; kaplica Potockich odrestaurowana, jak zawsze należytą opieką i hojnością swych właścicieli otoczona. Świeżo z dawnej zakrystyi czy też zachowania pod wieżą restaurują kaplicę XX. Czartoryskich, która to restauracya ze szkodą ogólnego wrażenia świątyni, należy przyznać, zbyt powolnie postępuje.

Dokończono także w tych dniach restauracyi wieży z dzwonem Zygmunta, gdzie serce pęknięte zastąpiono nowem ze Styryi aż sprowadzonem, dano wszystkie wiązania dębowe nowe i pokryto blachą ołowianą kopułę wieży. Szkoda tylko, że przy tej okoliczności zmieniono nieco kształt tej kopuły, przez co nie harmonizuje z wieżycami zamku, a bynajmniej nie jest piękniejszą.

Restauracya ta pociągnęła za sobą także kilkanaście tysięcy reńskich.

Co za rozmiary roboty te w przyszłości przybrać jeszcze mają, dość wspomnieć, że projektowane jest zdjęcie z całej powierzchni wewnętrznej warstwy wapna, pod którą ukrywa się malowanie prawdopodobnie z XV i XVI wieku, a które to malowania na ścianach i sklepieniu, tak odpowiednie gotyckiej budowli, dopiero biskup Sołtyk czy też Załuski w przeszłym wieku usunął. Dla ludzi obeznanych z tego rodzaju pracami, zrozumiałem jest, ile odnowienie tych malowań kosztów za sobą pociągnie, których to prac bez gorącego zajęcia się ogółu i materyalnej pomocy, przedsięwziąć naturalnie nie można. Wypada nam tu także wspomnieć że jeden z członków kapituły, dziekan tejże, Teliga, wspaniałomyślnie przeznaczył znaczną sumę na wystawienie nowego wielkiego ołtarza w stylu gotyckim, jak był pierwotny, w miejsce dotychczasowego, którego to jednakże projektu ze względu na poszanowanie pamiątki ołtarza, przed którym odbyto tyle koronacyi i innych obrządków na członkach rodziny królewskiej, oraz z powodu nieharmonizowania już dzisiaj ołtarza gotyckiego z całem prezbiteryum w stylu nowszym, zaniechano; należy się mieć nadzieję, że ofiarność sz. kapłana obróci się na inne konieczniejsze restauracye.

Robotom tym restauracyjnym przewodniczy konserwator dr. Łepkowski, budowniczy katedralny, inżynier i archeolog dr. Żebrawski; także należy się podziękowanie i ks. kanonikowi Midowiczowi, kustoszowi katedralnemu, który utrzymuje wszystko w porządku i rozumie doniosłość powierzonych jego pieczy pamiątek i skarbów.

Jeszcze nam przychodzi tu dopełnić paru słowami wiadomości o restauracyi grobów. Inicyatywę wielkiego tego dzieła powziął z okazyi pogrzebu Kazimierza W. p. Łepkowski i z dodanym mu komitetem, do którego grona należał i Matejko, w krótkim stosunkowo czasie, doprowadzili groby królewskie do dzisiejszego stanu. Dla połączenia z sobą grobowców należało wy-

kuć przejście w opoce, złączono także świeżo kryptę, gdzie się obecnie znajduje grób Stefana Batorego, dano na całym obszarze posadzki mozaikowe z terra-coty, musiano zrestaurować niemal wszystkie trumny etc. etc.; zamierzonem jeszcze jest danie aksamitnych purpurowych ze złoceniami pokryć na niektórych gładkich metalowych trumnach, danie nowego sarkofagu zwłokom Augusta II, do czego zdaje się i dwór saski przyłożyć się zechce, oraz odmalowanie wszystkich ścian na kolor purpurowy z złocistemi godłami, według wzorów Matejki, w krypcie zaś św. Leonarda danie malowań na sklepieniu.

Funduszu stałego, jak wiadomo, na wszystkie te restauracye nie ma; wszystko dzieje się ofiarnością publiczną. Widzimy z tego krótkiego rysu: że pomijając już *praetium affectionis*, materyalnie biorąc, restauracya wielkiego pomnika jest przedsięwzięciem bardzo pokaźnem; nie wiadomo nam, aby gdziekolwiek u nas podjęto równie kolosalnego dzieła i z taką starannością i gorliwością dokonywano go. Oby ogół u nas zrozumiał ciążący na nim obowiązek!

Gdyśmy przeglądali olbrzymie teki będące własnością pr. dr. Łepkowskiego, zawierające w sobie materyały zebrane przy restauracyi grobów, a niezbędne do dokładnego poznania ich, owe pyszne akwarelle trumien i pomników, owe rysunki własnoręczne Matejki zdjęte z przechowanych szczątków królewskich, przychodziło nam na myśl: kto też bogaty ten materyał należycie zużytkuje, czy znajdą się kiedy odpowiednie siły, aby na podstawie tegoż wydać wyczerpującą monografię godną wielkiego pomnika?

Zdaje się, że i pisma nasze illustrowane mogłyby częściowo przyczynić się do szerszego obeznania ze skarbami tymi, publiczności, a dr. Łepkowski możeby chętnie ich udzielił.

Z dziełami sztuki i pamiątek kapituła przechowuje niemniejszej wagi pomniki wiedzy i prawdy historycznej w bogatem jej archiwum i bibliotece; obok starożytnych dyplomatów, obok rzadkich rękopismów: Kadłubka, Długosza etc. etc. Biblii drukowanej Ostrogskiej... są trzy graduały z miniaturami „nieustępującemi w niczem rękopismowi Bema cechów krakowskich“, jak wiadomo, największej osobliwości Biblioteki Jagiellońskiej.

Że duchowieństwo, jak wszędzie tak i u nas, pojmowało należycie misyę swoją cywilizacyjną wtedy, gdy jeszcze reszta społeczeństwa pogrążoną była w grubej ciemnocie średniowiecznej, mamy tego przekonywający dowód na źródłach poważnych, z jakich czerpało wtedy swoją wiedzę i natchnienie. Na okładkach starych homilii z XIIgo i XIIIgo w. przechowały się katalogi ówczesnej biblioteki kapitulnej: jeden z roku 1110, drugi z r. 1290. „Obok lekcyi ewangielicznych wysokiej starości, obok homilii św. Grzegorza, Augustyna, obok innych ojców kościoła, znajdują się tam Salustyusz, Terencyusz i Persyusz, pontyjskie listy Owidyusza, Boecyusza o pociesze filozofii, Stacyusz, Klaudyan, prawa Longobardów, dekretalia Gracyana. Niektóre z tych ksiąg, romańskim charakterem na pargaminie rylcem liniowanym pisane, zachowały się dotąd. Pomniki te starsze są od najstarszych naszych dyplomatów, a katedra gnieźnieńska chyba równe wykazaćby mogła zabytki *

Samo z siebie wynika, że posiadanie i utrzymanie wśród murów swych tego wielkiego i narodowego pomnika cięży przedewszystkiem na Krakowie i oddziaływa niejako i na moralną stronę starożytnego grodu. Kraków, gród grobów i grób-miasto zarazem: ma zaszczyt stróżowania wielkim pomnikom przeszłości, jest niejako odźwiernym świątyni naszych dziejów. To też wiele dokonywa się tu dla przeszłości; o ile interesa teraźniejszości i przyszłości są uwzględniane: będziemy mieli jeszcze sposobność rozważenia.

Bogdan Nieczuja.

*) Pr. dr. Szujski konserwator archiwów w. „Roztrząsaniach i opowiadaniach“ str. 303.

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY

PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ DRUGA.

(*Ciąg dalszy*).

ROZDZIAŁ VII.

W którym zobaczymy, jak Izaak Hakhabut znajduje wyborną sposobność do wypożyczenia swych pieniędzy na ośmset procentów.

Na głos Ben-Zufa okienko z przodu otworzyło się i ukazała się w połowie postać Izaaka Hakhabuta.

— Kto tam? — krzyknął on zrazu. — Czego chcecie odemnie? Nie ma tu nikogo! Nie ma nic do pożyczenia ani do sprzedania!

Takimi grzecznymi wyrazami przywitał on przybywających.

— Hola, hola! mości Hakhabut — rzekł kapitan Servadac nakazującym tonem — czy masz nas za rozbójników?

— Ach! to pan generalny gubernator! — rzekł Izaak, nie wychodząc ze swej komórki.

— On sam — odparł Ben-Zuf, wchodząc na pokład statku. — Powinieneś poczytać sobie za zaszczyt jego odwidziny, no! wyłaź z nory!

Izaak Hakhabut okazał się cały w otworze od którego drzwi trzymał na pół przymknięte, w ten sposób by mógł je nagle zamknąć w razie niebezpieczeństwa.

— Czego chcecie? — zapytał.

— Chcemy z panem chwilę pomówić, mości Izaaku — odrzekł kapitan; — ale ponieważ zimno jest cokolwiek ostre, więc nie odmówisz nam na kwadrans gościnności w swej kajucie.

— Jakto? panowie chcecie wejść — zawołał Izaak, bynajmniej nie ukrywając tego, iż podobna wizyta wydawała mu się podejrzaną.

— Chcemy — odrzekł Hektor Servadac, wchodząc po stopniach wraz z towarzyszami.

— Nie mam nic do ofiarowania panom — rzekł Izaak żałośnym tonem — jestem człowiek biedny.

— Zaczyna się litania! — zawołał Ben-Zuf. — No, Eliaszu, odsuń się!

I Ben-Zuf pochwyciwszy Hakhabuta za kołnierz, bez ceremonii odciągnął go na bok. Potem otworzył drzwi kajuty.

Gdy wchodzili, kapitan Servadac powiedział:

— Zapamiętaj to sobie, Izaaku, iż nie przychodzimy tu zabierać ci mienie wbrew twej woli. Raz jeszcze powtarzam, iż gdy będzie tego wymagał interes ogólny, byśmy się rozporządzili ładunkiem twego statku, nie zawaham się uczynić to, to jest wywłaszczyć ciebie dla pożytku powszechnego... płacąc ci za towary według cen europejskich.

— Podług cen europejskich! — mruknął Izaak Hakhabut przez zęby. — Nie! podług istniejących cen galickich, i ja je ustanowię.

Tymczasem Hektor Servadac i towarzysze jego weszli do kajuty *Hanzy*. Był to wąski pokoik, ponieważ większa część jego zapełniona była towarami. Nie wielki piec żelazny, w którym tliły się dwa kawałki węgla, stał w jednym kącie naprzeciwko desek służących za łóżko. Szafa o drzwiach starannie na klucz zamkniętych, znajdowała się w głębi tego pomieszkania. Kilka rydlów, sosnowy stół wątpliwej czystości i kilka niezbędnych naczyń kuchennych uzupełniało umeblowanie, jak widzimy nie bardzo zbytkowne, ale godne właściciela *Hanzy*.

Pierwszem staraniem Ben-Zufa, gdy wszedł do kajuty, a żyd drzwi zamknął, było dorzucić do pieca kilka kawałków węgla. Ostrożność tę usprawiedliwiała niska temperatura; ale pomimo to powstały zarzuty i narzekania Izaaka, który wolałby palić własne kości, gdyby miał je na zmianę, aniżeli tak marnować swe paliwo. Ale nie słuchano go. Ben-Zuf stanął na straży przy piecu, którego działalność powiększył odpowiednią wentylacyą. Potem goście usiedli, gdzie kto mógł, powierzywszy kapitanowi Servadac wyłuszczenie powodu ich wizyty.

Izaak Hakhabut, stojący w kącie ze skrzyżowanemi na piersiach rękami, podobny był do winowajcy, któremu czyta się wyrok.

— Mości Izaaku — tak zaczął kapitan Servadac — przyszliśmy tu, by żądać od niego pewnej usługi.

— Usługi?

— W naszym wspólnym interesie.

— Ależ ja nie mam wspólnych interesów!

— Posłuchaj tylko i nie gderaj, Izaaku. Nie przychodzimy tu, by cię obdzierać.

— Żądać odemnie usługi, odemnie! biednego człowieka!... — zawołał żyd z jękiem.

— Oto, o co idzie — ciągnął dalej Hektor Servadac, udawszy, że nie słyszy.

Uroczystość tego wstępu sprawiała, iż Izaakowi wydało się, że zażądają od niego całego mienia.

— Jednem słowem, mości Izaaku — zaczął znowu kapitan Servadac — potrzebujemy bezmianu! czy możesz pożyczyć go nam!

— Bezmiana! — krzyknął Izaak, jak gdyby żądano od niego pożyczki kilku milionów franków — mówisz pan bezmiana?...

— Tak jest, bezmiana do ważenia! — powtórzył Palmiryn Rosette, którego wszystkie te formalności poczynały nudzić.

— Czy pan niemasz bezmianu? — zapytał porucznik Prokop.

— Ma! ma! — zawołał Ben-Zuf.

— Tak jest... sądzę... że mam — odrzekł Izaak Hakhabut, z wahaniem.

— Otóż, mości Izaaku będziesz tak grzeczny i pożyczysz nam bezmiana.

— Pożyczyć! — zawołał lichwiarz. – Panie gubernatorze, żądasz pan bym pożyczył?

— Na jeden dzień — odpowiedział profesor — na jeden dzień, Izaaku! Oddamy ci ten bezmian potem.

— Ale jest to narzędzie bardzo delikatne, kochany panie — odrzekł Izaak Hakhabut. — Sprężyna może pęknąć przy tak wielkiem zimnie!...

— O, bydlę! — zawołał Palmiryn Rosette.

— A przytem może będzie się na nim ważyć coś zbyt ciężkiego!

— Czy myślisz, Efraimie — rzekł Ben-Zuf — że będziemy ważyć górę?

— Więcej aniżeli górę! — przerwał Palmiryn Rosette — będziemy ważyć Galię!

— Boże wielki! — zawołał Izaak, którego pozorne narzekania zmierzały do widocznego celu.

Kapitan Servadac wdał się znowu.

— Mości Hakhabut — powiedział — potrzebujemy bezmiana dla zważenia jednego kilograma, nic więcej.

— Kilograma! Wszechmocny stwórco!

— A przytem ciężar ten będzie ważył znacznie mniej, z powodu mniejszej siły przyciągającej Galii. Więc nie masz czego obawiać się dla twego bezmiana.

— Bezwątpienia... panie gubernatorze... — odrzekł Izaak — ale pożyczyć!... pożyczyć!...

— Jeżeli nie chcesz pożyczyć, ozwał się wtedy hrabia, to może sprzedasz?

— Sprzedać! — zawołał Izaak Hakhabut — sprzedać mój bezmian! Ależ jeżeli go sprzedam, to jak będę mógł ważyć moje towary! Szalek nie mam! Mam tylko ten biedny mały instrument, bardzo delikatny, bardzo dokładny i panowie chcecie pozbawić mię go!

Ben-Zuf nie pojmował, jak kapitan może nie udusić na miejscu takiego niegodziwca. Ale Hektor Servadac bawił się tem wyczerpywaniem wszystkich form grzeczności i przekonywania wobec Izaaka.

— No, mistrzu Izaaku — powiedział wcale nie unosząc się — jak widzę, to nie przystajesz na pożyczenie nam bezmiana.

— Niestety! — czyż mogę to zrobić, panie gubernatorze?

— Ani na sprzedanie?

— Sprzedanie! o! nigdy!

— A więc może wynajmiesz?

Oczy Izaaka zaiskrzyły się.

— Czy odpowiesz pan za wszelkie uszkodzenie? — zapytał żywo.

— Odpowiem!

— I złożysz pan na moje ręce zastaw, który w razie nieszczęścia stanie się moją własnością?

— Tak jest.

— Jakiej wysokości?

— Sto franków zastawu za instrument wartujący dwadzieścia. Czy to wystarczy?

— Nie bardzo... panie gubernatorze... niebardzo; bo przecież bezmian taki jest jeden na naszym nowym świecie! Ale zresztą — dodał — czy te franki będą w złocie?

— W złocie.

— I panowie chcą wynająć ten bezmian, który tak mi jest potrzebny... panowie chcą go wynająć na dzień?

— Na jeden dzień.

— A co panowie zapłacą za wynajęcie?

— Dwadzieścia franków — odpowiedział hrabia. — Czy przystajesz na tę cenę?

— Niestety!... nie mam możności odmówienia — mruknął Izaak Hakhabut składając ręce. — Muszę się zrezygnować.

Układ został zawarty i widocznie ku wielkiemu zadowoleniu Izaaka. Dwadzieścia franków za wynajęcie, sto franków zastawu, a wszystko we francuskim złocie! O! Izaak Hakhabut nie sprzedałby swego prawa starszeństwa za miskę soczewicy, chybaby to była soczewica z pereł!

Handlarz, powiodłszy dokoła podejrzliwym wzrokiem, wyszedł z kajuty, by przynieść bezmian.

— To człowiek! — zawołał hrabia.

— O, tak! — odrzekł Hektor Servadac — jestto osobliwość w swoim rodzaju.

W tej chwili prawie powrócił Izaak Hakhabut, przynosząc żądane narzędzie pod pachą.

Były to szalki ze sprężyną i zaopatrzone w haczyk do zawieszania przedmiotu, mającego być ważonym. Wskazówka posuwająca się po kole porozdzielanem, oznaczała wagę. A zatem, jak to zauważył Palmiryn Rosette, stopnie, które wskazywał taki instrument, były zupełnie niezależne od wszelkiej ciężkości. Wyrobiony do ważenia rzeczy na ziemi, oznaczałby on tam kilogram wagi każdego przedmiotu, kilogram ważącego. Jakąż wagę takiego samego przedmiotu wskaże on na Galii? Dalej to zobaczymy.

Sto franków w złocie wyliczono Izaakowi, którego ręce zamknęły się ująwszy drogi kruszec jak wieko kufra. Bezmian wręczony został Ben-Zufowi i goście *Hanzy* zabierali się do opuszczenia kajuty.

Ale w tej chwili profesor przypomniał sobie, że brakowało mu jeszcze jednej rzeczy niezbędnej dla jego operacyi. Bezmian nie posłużyłby mu do niczego, gdyby nie mógł zawiesić na nim bryły owej materyi galickiej rozmiarów najdokładniej określonych, naprzykład bryły tworzącej decymetr kubiczny.

— O! to jeszcze nie wszystko! — zawołał Palmiryn Rosette. — Trzeba nam także pożyczyć..

Izaak Hakhabut zadrżał.

— Trzeba nam pożyczyć metr i ciężarek ważący kilogram.

— O, co do tego, kochany panie — odrzekł Izaak, to rzecz niemożebna i bardzo ubolewam nad tem! Tak byłbym szczęśliwy, gdybym mógł zobowiązać pana!

Na ten raz Izaak Hakhabut powiedział podwójnie prawdę, twierdząc, że na pokładzie nie ma metra, ani wagi i że ubolewa, iż nie ma ich! Zrobiłby drugi doskonały interes.

Palmiryn Rosette, mocno tem niezadowolony, spojrzał po swoich towarzyszach, jak gdyby chciał uczynić ich odpowiedzialnymi za ten fakt. A było też czego niepokoić się, gdyż w braku tych narzędzi do mierzenia, nie wiedział jak ma sobie postąpić, by dojść do rezultatu zadowalniającego.

— Muszę przecież coś na to poradzić! mruknął drapiąc się w głowę.

I szybko pobiegł po schodach nazad ku kajucie. Towarzysze udali się za nim. Ale nie stanął jeszcze na pokładzie statku, gdy wewnątrz kajuty dał się słyszeć brzęk pieniędzy.

Właśnie Izaak Hakhabut zamykał swe złoto w jednej z szuflad szafy.

Usłyszawszy ten dźwięk profesor żywo odwrócił się i pobiegł dalej po schodach, a za nim znowu inni, nie rozumiejąc, co to wszystko znaczy.

— Masz srebrne monety? — zawołał chwytając Izaaka za rękaw starej jego opończy.

— Ja?... monetę!... — odrzekł Izaak Hakhabut, blady, jak gdyby znalazł się w obecności rozbójnika.

— Tak jest!... srebrną monetę!... — powtórzył profesor z wielkiem ożywieniem, — są to pieniądze francuskie!... pięciofrankówki?

— Tak... nie... — odrzekł Izaak — sam nie wiedząc, co mówi.

Ale profesor już się nachylił ku szufladzie, którą Izaak Hakhabut napróżno starał się zamknąć. Kapitan Servadac, hrabia i porucznik Prokop nic tego nie rozumieli, ale postanowiwszy popierać profesora, przypatrywali się całej scenie, nie biorąc w niej udziału.

— Te francuskie monety są mnie potrzebne! — zawołał Palmiryn Rosette.

— Nie dam! — krzyknął teraz handlarz takim głosem, jak gdyby mu kto wyrywał wnętrzności.

— Są mi one potrzebne — powiadam ci i będę je mieć!

— Pierwej mnie zabiją! — ryknął Izaak Hakhabut.

Kapitan Serwadac uznał za stosowne wdać się w to.

— Kochany profesorze — powiedział uśmiechając się — pozwól mi pan ułożyć ten interes tak jak i poprzedni.

— Ach, panie gubernatorze — zawołał Izaak Hakhabut wystraszony — broń mię pan! broń!

— Milcz, mości Izaaku — odrzekł kapitan Servadac — a potem zwracając się do Palmiryna Rosette — zapytał:

— Potrzebujesz pan pewnej ilości sztuk pięciofrankowych dla swych operacyi?

— Tak jest — odrzekł profesor — naprzód potrzebuję czterdziestu sztuk.

— Dwieście franków! — mruknął bankier.

— A dalej — ciągnął profesor — dziesięć sztuk dwufrankowych i dwudziestu sztuk pięćdziesięciocentymowych.

— Trzydzieści franków! — ozwał się głos płaczliwy.

— Razem dwieście trzydzieści franków? — zapytał znowu Hektor Servadac.

— Tak jest dwieście trzydzieści franków — odpowiedział Palmiryn Rosette.

— Dobrze! — rzekł kapitan Servadac, a następnie zwracając się do hrabiego — powiedział:

— Czy hrabia masz jeszcze co do dania w zastaw Izaakowi, dla poręczenia przymusowej pożyczki, którą u niego zaciągnę?

— Worek mój jest do rozporządzenia, kapitanie — odrzekł hrabia — ale mam przy sobie tylko papierowe ruble...

— Żadnych papierów! żadnych! — krzyknął Izaak Hakhabut. — Papier nie ma żadnego kursu w Galii!

— A czy brzęcząca moneta ma jaki kurs? — zapytał zimno hrabia.

— Mości Izaaku! — rzekł wtedy kapitan Servadac — wszystkie twoje jeremiady nie popsuły mi dotąd humoru. Ale radzę ci, byś dłużej nie nadużywał mojej cierpliwości. Dobrym czy złym sposobem dasz nam dwieście trzydzieści franków.

— Gwałtu! rozbój! — krzyknął Izaak.

Ale nie mógł nic mówić dalej, ponieważ potężna ręka Ben-Zufa pochwyciła go za gardło.

— Puść go, Ben-Zuf — rzekł kapitan Servadac — puść! on sam wszystko zrobi.

— Nigdy!... nigdy!

— Ile procentu żądasz, mości Izaaku, za pożyczenie nam dwóchset trzydziestu franków?

— Pożyczenie?... więc to tylko pożyczka?! — zawołał Izaak Hakhabut, którego twarz nagle rozpromieniła się.

— Tak jest, prosta pożyczka... jakiego żądasz procentu?

— Ach, panie gubernatorze generalny! — odpowiedział słodkim głosem lichwiarz — pieniądze tak trudno zarobić, a zwłaszcza teraz na Galii!...

— Bez tych uwag!... ile żądasz? — powtórzył kapitan Servadac.

— A więc, panie gubernatorze — odrzekł Izaak — zdaje mi się, że dziesięć franków procentu...

— Dziennie!

— Rozumie się... dziennie!...

Jeszcze nie skończył a już hrabia rzucił na stół pęk rubli. Izaak pochwycił je i począł liczyć z widoczną skwapliwością. Chociaż był to tylko „papier", zastaw jednak zadowolniłby najchciwszego lichwiarza.

Monety francuskie, których profesor żądał, zostały mu bezzwłocznie wręczone i z widocznem zadowoleniem schowane do kieszeni.

Co do Izaaka, to ten poprostu umieścił swój kapitał po tysiąc ośmset na sto. Gdyby dalej wypożyczał według tej skali, to prędzej zrobiłby majątek na Galii aniżeli na ziemi.

W kilka chwil potem kapitan Servadac i towarzysze jego opuścili statek, a Palmiryn Rosette wykrzyknął:

— Panowie! nie dwieście trzydzieści franków ja niosę, ale materyał z którego da się zrobić najdokładniejszy kilogram i metr!

ROZDZIAŁ VIII.

W którym profesor i uczniowie jego bawią się w kwintyliony, sekstyliony i inne mnożniki miliardów.

W kwandrans potem goście *Hanzy* zeszli się we wspólnej sali, gdzie ostatnie wyrazy profesora miały być wyjaśnione.

Na rozkaz profesora, Ben-Zuf zabrał ze stołu wszystkie znajdujące się na nim przedmioty i oczyścił miejsce. Srebrne monety, wypożyczone u żyda Hakhabuta złożone zostały na stole, stosownie do ich wartości: dwie kupki pięciofrankówek po dwadzieścia sztuk jedna kupka dwufrankówek z dziesięciu sztuk i jedna kupka sztuk pięćdziesiątcentymowych w ilości dwudziestu sztuk.

— Panowie — rzekł Palmiryn Rosette — bardzo sam z siebie zadowolony, ponieważ nie mieliście w chwili potrącenia komety o ziemię tyle przezorności, by uratować metr i kilogramowy ciężarek ziemski, musiałem więc pomyśleć o środkach zastąpienia tych dwóch przedmiotów, które mi są niezbędne dla wyrachowania atrakcyi, masy i gęstości komety.

Wstępny ten frazes był nieco za długi, ale taki sam frazes ułożyłby każdy mowca, pewny że wywrze wrażenie na słuchaczach. Ani kapitan Servadac, ani hrabia, ani porucznik Prokop nie podnieśli szczególnego zarzutu, który im zrobiono. Przyzwyczaili się już do Palmiryna Rosette.

— Panowie, ciągnął profesor dalej — ja naprzód zapewniłem się, że wszystkie te monety są prawie nowe i nie były ani ścierane, ani obrzynane przez żyda. Są więc w należytych warunkach dla zapewnienia wszelkiej możebnej dokładności moim operacyom. Naprzód posłużę się niemi dla otrzymania najściślejszych wymiarów metra ziemskiego.

Hektor Servadac i towarzysze jego zrozumieli do czego profesor zmierza, pierwej aniżeli ten wypowiedział całą myśl swoją. Co do Ben-Zufa, to ten patrzał na Palmiryna Rosette jako na sztukmistrza, przygotowującego się do pokazania ciekawej sztuki w jakiej budzie na Montmartre.

Oto na czem profesor opierał pierwszą swoją operacyę, do której pomysł przyszedł mu nagle, gdy usłyszał brzęk monet w szufladzie Hakhabuta.

Wiadomo, że monety francuskie są decymalne i same tworzą wszystkie dziesiętne części, jakie mogą istnieć między jednym centymem a stu frankami. Mamy 1. sztuki jedno, dwu, pięcio i dziesięcio centymowe miedziane; 2. sztuki dwudziesto i pięćdziesiątcentymowe, dalej frank, dwa franki i pięciofrankówki srebrne; 3. pięcio, dziesięcio dwudziesto, pięćdziesięcio i stufrankówki złote.

Owoż powyżej franka istnieją wszystkie mnożniki dziesiętne tegoż; poniżej wszystkie dziesiętne jego ułamki. Frank jest podstawą.

— Owoż — i na ten to punkt profesor Palmiryn Rosette naprzód położył nacisk — rozliczne te sztuki monety trzymają najdokładniejszy kaliber i średnica ich jest ściśle przez prawo określana w fabrykacyi. Tak np. co do sztuk pięciofrankowych, dwufrankowych i pięćdziesięciocentymowych w srebrze, te pierwsze mają średnicy trzydzieści siedm milimetrów, drugie dwadzieścia siedm milimetrów, a trzecie ośmnaście milimetrów.

Czyż nie byłoby zatem możebnem układając pewną ilość sztuk takich rozmaitej wartości jedna obok drugiej, otrzymać ściśle dokładną długość wynoszącą tysiąc milimetrów, czyli jeden metr ziemski?

To możebne — i profesor wiedział o tem. Dlatego też wybrał dziesięć sztuk pięciofrankowych z dwudziestu, które mu przyniesiono, dziesięć dwufrankowych i dwadzieścia pięćdziesięciocentymowych.

Szybko zrobił na papierze następujące obliczenie i przedstawił je swoim słuchaczom:

10 sztuk	po 5 franków	średnicy	0,‴037	=0,‴370
10 „	„ 2 “	„	0,‴27	=0,‴270
20 „	„ 50 cent „	„	0,‴018	=0,‴360
		Razem . .		1‴=000

—Bardzo dobrze, kochany profesorze—rzekł Hektor Servadac.—Teraz pozostaje nam tylko ułożyć tych czterdzieści sztuk w ten sposób by jedna i ta sama linia prosta przechodziła przez ich środek i będziemy mieli najdokładniejszą długość metra ziemskiego.

— A do tysiąca kabylów! — zawołał Ben-Zuf — zawsze to piękna jest rzecz być uczonym!

— On to nazywa uczonością! — odparł Palmiryn Rosette ruszając ramionami.

Dziesięć pięciofrankówek ułożono na stole jedna obok drugiej w ten sposób, że centra ich znajdowały się w jednej linii, potem tak samo dziesięć dwufrankówek, wreszcie dwadzieścia sztuk pięćdziesiątcentymowych. Następnie odznaczono na stole całą długość linii w ten sposób utworzonej.

— Panowie! — zawołał profesor — oto jest dokładna długość metra ziemskiego.

Operacya ta dokonana została z największą ścisłością. Metr ten, za pomocą cyrkla podzielono na dziesięć części równych, co dało decymetry. Wycięto kawał drutu tej długości i doręczono mechanikowi *Dobryny*.

Mechanik ten, człowiek bardzo zręczny, wyszukał sobie bryłę owej nieznanej materyi, z której składała się masa wulkaniczna, obrobił ją w ten sposób, iż każda z sześciu stron miała przestrzeni jeden decymetr kwadratowy i otrzymał najdoskonalszy sześcian.

Tego właśnie chciał Palmiryn Rosette.

Otrzymano zatem metr. Teraz należało otrzymać jak można najdokładniejszy ciężar jednego kilogramu.

To było jeszcze łatwiejsze.

Francuskie monety mają nie tylko kaliber ściśle określony, ale i ciężar najściślej wyrachowany.

Tak naprzykład sztuki pięciofrankowe ważą najdokładniej dwadzieścia pięć gramów; to jest tyle, ile waży pięć sztuk jednofrankowych, ważących każda pięć gramów.

Dość jest zatem zebrać czterdzieści sztuk pięciofrankowych srebrnych, aby otrzymać wagę jednego kilogramu.

Kapitan Servadac i towarzysze jego zrozumieli to odrazu; Ben-Zuf zaś powiedział:

— Jak widzę, to do tego wszystkiego nie dość jest być uczonym, potrzeba jeszcze...

— Czego? — zapytał Hektor Servadac.

— Trzeba jeszcze być bogatym.

Wszyscy zaśmiali się z tej uwagi Ben-Zufa.

Nareszcie po upływie kilku godzin decymetr kubiczny został wyciosany z możliwą dokładnością i mechanik doręczył go profesorowi.

Palmiryn Rosette, posiadając wagę jednego kilogramu, bryłę przedstawiającą decymetr kubiczny i nakoniec bezmian do kolejnego ich ważenia, był w możności obliczyć siłę przyciągającą, masę i gęstość swego komety.

— Panowie — powiedział — przypuszczając, że nie znacie, albo może i nie znaliście sławnego prawa Newtona, muszę je wam tu wypowiedzieć. Według tego prawa siła przyciągająca jest w stosunku prostym do masy i w stosunku odwrotnym do kwadratów odległości. Proszę nie zapomnieć tej zasady.

Dzielnie wykładał profesor! Ale też jakich powolnych miał uczniów!

— Oto jest — ciągnął dalej — czterdzieści sztuk pięciofrankowych zsypanych w tym worku. Sztuki te ważyłyby na ziemi równo jeden kilogram. A więc gdybym znajdując się na ziemi zawiesił je na haczyku tego bezmiana, strzałka wskazywałaby kilogram. Czy jasno?

Mówiąc to Palmiryn Rosette ciągle wpatrywał się w Ben-Zufa. Naśladował on pod tym względem Arago, który podczas wykładu patrzał ciągle na tego ze swoich słuchaczów, który zdawał się mieć najmniej rozgarnięcia. A gdy mu się wydało, że ten słuchacz zrozumiał go, to profesor był pewny, iż jasno przedmiot swój wyłożył.*)

Ordynansowi kapitana Servadac nie brakło rozgarnięcia; przeciwnie, ale nic wcale prawie nie umiał, co wychodziło na jedno.

Ale ponieważ Ben-Zuf wydawał się przekonanym — więc profesor ciągnął dalej:

— Otóż, moi panowie, ten worek ze czterdziestu monetami zawieszę na haczyku, a ponieważ operuję na Galii, więc przekonamy się co one na Galii ważą.

Worek został zawieszony na haczyku, strzałka bezmianu drgnęła, zatrzymała się i wskazała na kole z podziałką sto trzydzieści trzy gramy.

— A zatem — ciągnął dalej Palmiryn Rosette—to co waży kilogram na ziemi, waży tylko sto trzydzieści trzy gramy na Galii, to jest około siedmiu razy mniej. Czy jasno?

---

*) Arago lubił opowiadać anegdotę następującą. Raz w pewnym salonie, gdy właśnie ukończył przytoczenie powyższego swego zwyczaju, wszedł nieznany mu młody człowiek zaczął oddawać mu ukłony z największą atencyą.

—Z kim mam honor mówić? — zapytał go znakomity astronom.

—Ach, panie Arago! — odrzekł młody człowiek—pan musisz mnie znać, gdyż pilnie uczęszczam na jego wykłady a pan prawie oka nie spuszczasz ze mnie przez cały czas trwania lekcyi.

Gdy Ben-Zuf skinął potakująco, profesor z powagą ciągnął rzecz dalej:

— A teraz pojmiecie, że rezultaty, jakie otrzymałem za pomocą bezmianu, byłyby żadne przy szalkach zwyczajnych. Dwie miseczki, na które położyłbym na jednej monety a na drugiej ciężarek kilogramowy, znalazłyby się w równowadze, ponieważ i jednego i drugiego waga równo zmniejszyłaby się. Czy jasno?

— Nawet dla mnie! — odrzekł Ben-Zuf.

— Jeżeli zatem — mówił profesor dalej — ciężar jest tu siedm razy mniejszy aniżeli na kuli ziemskiej, należy wnioskować z tego, że natężenie ciężkości na Galii wynosi tylko siódmą część natężenia na powierzchni ziemi.

— Doskonale! — zawołał kapitan Servadac; — teraz mamy już ten punkt wyjaśniony. A więc, kochany profesorze, przejdźmy do masy.

— Nie, naprzód do gęstości — odpowiedział Palmiryn Rosette.

— W samej rzeczy — dorzucił porucznik Prokop, znając już objętość Galii — gdy poznamy jej gęstość, masa wyprowadzi się całkiem naturalnie.

Rozumowanie porucznika było słuszne; pozostawało więc przystąpić do wyrachowania gęstości Galii.

To właśnie uczynił profesor. Wziął bryłę wyciosaną z masy wulkanicznej i trzymającą równie jeden decymetr kubiczny wymiaru i tak powiedział:

— Panowie! bryła ta wyrobiona jest z tej nieznanej materyi, którą podczas waszej żeglugi spotykaliście wszędzie na powierzchni Galii. Zdaje się, że w samej rzeczy kometa mój utworzony jest wyłącznie z tej substancyi. Wybrzeże, góra wulkaniczna, terytoryum, tak na północy jak na południu zdają się składać wyłącznie z tego minerału, któremu wasza nieświadomość geologii nie pozwoliła nadać nazwiska.

— Tak jest, a chcielibyśmy wiedzieć, co to za substancya — rzekł Hektor Servadac.

— Sądzę zatem — zaczął znowu Palmiryn Rosette — iż mam prawo rozumować, jak gdyby Galia całkiem i wyłącznie składała się z tej materyi aż do ostatnich swych głębi. Oto mamy kubiczny decymetr tej materyi. Ile mógłby on ważyć na ziemi? Ważyłby równo tyle co na Galii pomnożony przez siedm, ponieważ, powtarzam to, atrakcya jest siedm razy mniejszą na komecie, aniżeli na kuli ziemskiej. Czyś mnie pan zrozumiał, pan, co tak na mnie wytrzeszczyłeś oczy?

Słowa te zwrócone były do Ben-Zufa.

— Nie — odpowiedział Ben-Zuf.

— No, to nie będę tracić czasu na bliższe wyjaśnienia. Ci panowie zrozumieli i dość na tem.

— Co za niedźwiedź! — mruknął Ben-Zuf.

— Zważmy więc tę bryłę—rzekł profesor.— Znaczy to tyle, jak gdybym zawieszał kometę mego na bezmianie.

Bryłę zawieszono na bezmianie i strzałka wskazała na kole jeden kilogram czterysta trzydzieści gramów.

— Jeden kilogram czterysta trzydzieści gramów—rzekł Palmiryn Rosette — pomnożone przez siedm dają prawie dziesięć kilogramów. A zatem, ponieważ gęstość ziemi wynosi około pięciu, więc gęstość Galii jest dwa razy większa, ponieważ wynosi dziesięć! Gdyby nie ta okoliczność, waga, zamiast być siódmą częścią wagi ziemskiej na moim komecie, byłaby tylko częścią piętnastą!

Wymawiając te wyrazy profesor sądził, że ma prawo być dumnym. Jeżeli ziemia przewyższała jego kometę pod względem objętości, to kometa przewyższał ziemię co do gęstości i pewno nie zamieniałby go na ziemię.

A zatem teraz średnica, obwód, powierzchnia, objętość Galii i natężenie ciężkości na jej powierzchni byłyby już znane. Pozostawała do obliczenia masa, czyli inaczej ciężkość.

Obliczenie to było prędko wykonane. Ponieważ bowiem jeden decymetr kubiczny materyi galickiej ważyłby dziesięć kilogramów zważony na ziemi, więc Galia będzie ważyć dziesięć razy tyle kilogramów, ile jej objętość zawiera decymetrów kubicznych. Owoż objętość ta, jak wiadomo, wynosiła dwieście jedenaście milionów czterysta trzydzieści trzy tysiące czterysta sześćdziesiąt kilometrów kubicznych, zawierała ilość decymetrów przedstawionych przez dwadzieścia jedną cyfrę, a mianowicie dwieście jedynaście kwintylionów czterysta trzydzieści trzy kwatryliony czterysta sześćdziesiąt trylionów. Cyfra ta zatem w kilogramach ziemskich dawała masę czyli wagę Galii.

Mniejszą zatem była od masy ziemi o cztery sekstyliony siedmset ośmdziesiąt ośm kwintylionów pięćset sześćdziesiąt sześć kwatrylionów pięćset czterdzieści trylionów kilogramów.

— A ileż waży ziemia? — zapytał Ben-Zuf, wyraźnie jakby ogłuszony temi miliardami milionów.

— A naprzód, czy wiesz ty co to jest miliard? — zapytał go kapitan Serwadac.

— Mniej więcej — panie kapitanie.

— Otóż wiedz o tem, że od czasu narodzenia się Chrystusa nie upłynął jeszcze miliard minut, i gdybyś był dłużny miliard, to płacąc franka co minuty od owego czasu, jeszcze nie skończyłbyś płacić.

— Franka na minutę! — zawołał Ben-Zuf— ależ zrujnowałbym się za kwandrans!... Ale ile też w samej rzeczy waży ziemia?

— Pięć tysięcy ośmset siedmdziesiąt pięć sekstylionów kilogramów — odrzekł porucznik Prokop — liczba ta składa się z dwudziestu pięciu cyfr.

— A księżyc?

— Siedmdziesiąt dwa sekstyliony kilogramów.

— Tylko! — odrzekł Ben-Zuf — a słońce?

— Dwa miliony — odpowiedział profesor; — liczbę wyrażającą się w trzydziestu jednej cyfrze.

— Dwa miliony! — powtórzył Ben-Zuf — zapewne mniej więcej o kilka gramów!

Palmiryn Rosette począł z ukosa spoglądać na Ben-Zufa.

— A zatem — rzekł kapitan Servadac na zakończenie — każdy przedmiot waży siedm razy mniej na powierzchni Galii, aniżeli na powierzchni ziemi.

— Tak jest — odpowiedział profesor — i co za tem idzie, siły nasze muskularne są sześć razy większe. Silny tragarz unoszący sto kilogramów na ziemi, tu dźwignąłby siedmset na Galii.

— Oto dlaczego skaczemy siedm razy wyżej! — zauważył Ben-Zuf.

— Bezwątpienia — odrzekł porucznik Prokop — a gdyby masa Galii była jeszcze mniejszą, to skakalibyśmy jeszcze wyżej!

— Nawet przez górę Montmartre! — dodał profesor, mrugając okiem, by rozzłościć Ben-Zufa.

— A jakie jest natężenie ciężkości na innych gwiazdach? — zapytał Hektor Servadac.

— Zapomniałeś już pan o tem! — zawołał profesor. — Ale prawda, nigdy nie byłeś pilnym uczniem!

— Wyznaję to ze wstydem! — odrzekł kapitan Servadac.

— Otóż, jeżeli ziemia jest jednostką, to atrakcya na księżycu wynosi szesnaście setnych, na Jowiszu dwa i czterdzieści pięć setnych, na Marsie pięćdziesiąt setnych, na Merkurym jeden i piętnaście setnych, na Wenerze dziewięćdziesiąt dwa setnych, prawie tyle co na ziemi, na słońcu dwa i czterdzieści pięć setnych. Tam kilogram ziemski waży dwadzieścia ośm!

— To też — dodał porucznik Prokop — na słońcu człowiek tak zbudowany jak my, z trudnością zdołałby się podnieść, gdyby upadł, a kula działowa leciałaby tam zaledwie kilkanaście metrów.

— Wyborne pole bitwy dla tchórzów! — zawołał Ben-Zuf.

— Nie bardzo — dodał kapitan Servadac— ponieważ z powodu ciężkości byłoby trudno uciekać.

— A więc — powiedział Ben-Zuf — ponieważ bylibyśmy silniejsi i moglibyśmy wyżej skakać, więc żałuję, że Galia nie jest jeszcze mniejszą! Prawda, że byłoby to trudno!

Uwaga ta uraziła miłość własną Palmiryna Rosette, właściciela rzeczonej Galii. To też karcąc Ben-Zufa — zawołał:

— Patrzcie panowie! jak gdyby głowa tego ciemnego człowieka nie była jeszcze dość lekką! Niech się on ma na ostrożności, bo kiedyś lada silniejszy powiew wiatru zdmuchnie mu ją.

— Ba? — odparł Ben-Zuf — przytrzymam ją obiema rękami!

Palmiryn Rosette widząc, że nie przegada upartego Ben-Zufa, zabierał się do wyjścia, gdy kapitan Servadac zatrzymał go skinieniem.

— Za pozwoleniem, kochany profesorze, — powiedział — jeszcze jedno pytanie. Czy nie wiesz pan, co to jest za substancya, z której Galia jest utworzona?

— Może i wiem! — odrzekł Palmiryn Rosette. — Natura tej materyi... gęstość jej, wynosząca dziesięć... ośmieliłbym się twierdzić... o! jeżeli tak jest, to miałbym czem zbić z tropu Ben-Zufa! Niechby ośmielił się przyrównywać swój pagórek do mojego komety!

— Cóżbyś pan ośmielił się twierdzić? — zapytał kapitan Servadac.

— Że ta substancya — odrzekł profesor cedząc każdy wyraz przez zęby — że substancya ta jest ni mniej ni więcej jak telurium...

— Ba! telurium... — zawołał Ben-Zuf.

— Telurium złota, to jest ciała złoconego znajdowanego często na ziemi; w tutejszym teluryum według mego wyrachowania znajduje się trzydzieści procentów złota!

— Trzydzieści procentów! — zawołał Hektor Servadac.

— Dodawszy siedmdziesiąt procentów telurium otrzymać możemy specyficzną gęstość Galii!

— Kometa ze złota! — powtarzał kapitan Servadac.

— Znakomity Maupertuis przypuszczał, że jest to możebnem i Galia usprawiedliwia to przypuszczenie.

— W takim razie — rzekł hrabia — jeżeli Galia spadnie na ziemię, zmieni wszystkie warunki monetarne, ponieważ obecnie jest w obiegu wszystkiego dwadzieścia dziewięć miliardów czterysta milionów złota!

— Bez wątpienia — odrzekł Palmiryn Rosette — a ponieważ bryła złocistego telurium unosząca nas, waży według wagi ziemskiej dwie-

ście jedynaście kwintylionów czterysta trzydzieści trzy kwatryliony czterysta sześćdziesiąt trylionów kilogramów, a zatem przyniesie na ziemię około siedmdziesięciu kwintylionów złota. Owoż licząc kilogram po trzy tysiące pięćset franków, czyni to w okrągłej cyfrze dwieście czterdzieści sześć sekstylionów franków. Liczba ta składa się z dwudziestu czterech cyfr.

— W dniu tym — odpowiedział Hektor Servadac — wartość złota spadnie na zero i wtedy ono słusznie można będzie nazywać „podłym kruszcem.“

Profesor nie słyszał tej uwagi. Po ostatniej odpowiedzi wyszedł majestatycznie i powrócił do swego obserwatoryum.

—Ale — zapytał wtedy Ben-Zuf—do czego służą wszystkie te wyrachowania, które ten kapryśny uczony wykonywa jak sztuki kuglarskie?

— Do niczego! — odrzekł kapitan Servadac — i to właśnie stanowi ich urok!

(C. d. n.)

HRABINIE ***

NA JEJ WYJEZDNEM DO WILNA.

To, co w swych tajniach kryją serc głębie,
Przed czem bezwiednie drżą kaci:
My, przez was, Polki! jak przez gołębie,
Szlemy w poselstwie do braci.

Wróg nie odgadnie i nie podsłucha,
I nie zrozumie z słów dźwięku,
Że lont zapalny dla Polski ducha,
W waszem złożyliśmy ręku.

Że wy nietylko u arf pieszczonych,
Zwykłeście trącać o struny:
Bo w głębi waszych ócz załzawionych
Drżą utajone pioruny.

Że — serce wasze, choć grom uderzy,
Nie zadrży pod ręką podłą,
Choćby je śladem Boskiej Macierzy,
Aż siedem mieczów przebodło.

Kto, jak wy, umie uczucia czarem
Rozdmuchać iskrę przygasłą:
O! tego imię będzie sztandarem,
A słowo stanie za hasło.

Pani! w podróży tej apostolskiej
Bierz z sobą nasze modlitwy.
Przez Twoje usta głos całej Polski,
Szle pozdrowienie dla Litwy.

Wł. Bełza.

RÓŻA I LILIA.

Słowik ukochał miłością wieczną
Różę w cierniowej koronie;
Motyl się lilią pobawił mleczną,
Na inne odleciał wonie.

Róża goręcszym płonie szkarłatem,
Lilia lśni bielszą bladością;
Każda z nich czystszym, wonniejszym kwiatem,
Przeduchownionym miłością.

Czemuż jednaką wywołał zmianę
Słowik i motyl niestały?
Bo chociaż różnie były kochane,
Obie zarówno kochały.

Ach! jakiekolwiek miłości losy,
I jakakolwiek zapłata,
Zawsze ku duszy zbliża niebiosy,
Sama swą siłą bogata.

Iza.

NIE MASZ CHŁOPCÓW NAD MAZURY.

Nie masz chłopców nad Mazury!
Czy do kaszy, do pałaszy.
Szablą z góry, łyżką z góry,
Nie masz chłopców nad Mazury!

Bo to twarze jak księżyce,
Wąsy jak dwa nietoperze,
A jak wypił dwie szklanice,
To już niech się każdy strzeże.

Nie masz chłopców nad Mazury!
Czy do pługa, czy do brony,
I do kosy on wuczony,
Nie masz chłopców nad Mazury!

Do wypitki, do zalotów,
Do wybitki Mazur gotów,
A gdy w kaszę kto mu pluje,
To już pewno pożałuje.

A gościnny a serdeczny,
Jak żonaty to stateczny,
Ale póki chłopcem który,
Baczcie matki na swe córy!

Nie masz chłopców nad Mazury!
Z koniem raźny, z bronią znakom,
A na Moskwy skórę łakom...
Nie masz chłopców nad Mazury!

Nie masz chłopców nad Mazury!
Żołnierz z niego w dwie niedziele...
A na bój jak na wesele,
Nie masz chłopców nad Mazury!

A dziewczęta, o mój Boże!
Wypowiedzieć nikt nie może,
Ile serca, ile krasy,
Jakie cnoty tam zapasy.

Choć nie leśny, ani górski,
Ale kiedy wejdzie zorze,
Łan za łanem, kieby morze,
Nie masz kraju nad mazurski!

Jak Bóg miły takem pewny,
Żeby Mazur w księgach czytał,
Toby każdy się dopytał,
Do księżniczki lub królewny.

Choć nie leśny, ani górski,
Ale chleba tam nie braknie,
Nikt nie pragnie, ani łaknie,
Nie masz kraju nad mazurski!

I dziś gdyby na sprobunek,
Nam Mazurom dali koni —
Lanc dostatkiem, białej broni,
Reszta, to już nasz frasunek!

Nie masz chłopców nad Mazury
Częstochowska z Jasnej góry,
Patrzy, czy nie bruździ który?
Więc trzymają się Mazury!

Dzisiaj Mochu! twoja góra,
Ale jeszcze nie wygrana!
Bóg da, pierwsza napotkana,
Popamiętasz ty Mazura!

Nie masz chłopców nad Mazury!
Jedna tylko jest rzecz przecie.
Którą powiem wam w sekrecie,
Chociaż nie masz jak Mazury....

Nasze baby kęs zazdrośne,
Choć uczciwe i miłośne,
Ale jak ci plunie w . . . kaszę ..
Nie masz kobiet jako nasze!

Nie masz kraju jak nasz sławny!
Choć tam baby krewkie w dłoni ..
A jak krzyknie, trzy dni dzwoni,
Jakby w cerkwi prawosławnej.

Gdyby sekret był odkryty,
Że mię w życiu zdradzi który,
Nagarbujęż ja mu skóry,
Bom ja Mazur rodowity!

Karol Świdziński.

PANNA KAPITANÓWNA

przez

MARKA POLNICZA.

(Ciąg dalszy.

Sędzia Afrodziewicz rozśmiał się grubym głosem. Uczyniona mu propozycya, przy potężnej jego tuszy była w samej rzeczy komiczną.

— Nie śmiej się pan! — podnosząc głos zawołał gromko urażony pan Kalasanty, — tu nie ma żartu! tu o miliony idzie! I o moją posadę!... No, pokaż pan swoją kwadraturę!...

Wszyscy uważali całą tę prelekcyę pana Kalasantego za żart nieco za daleko posunięty, nowy ten koncept i to natarczywe domaganie się pobudziło całą publiczność do jeszcze większego śmiechu.

Kalasanty nagle zmienił postawę i poważnym tonem zgromił słuchaczy, jakby naśladując czyjś głos i sposób mówienia:

— Fe! wstydźcie się śmiać z nieszczęścia ludzkiego! czyż nie widzicie, że to waryat!... Ho, ho, bratku, ja sobie potrafię dać rady z tobą... dajcie kaftan! trzeba go związać!

I pochwycił sędziego za ręce.

Audytoryum zaczęło już powątpiewać o pięciu zdrowych zmysłach prelegenta. Sędzia się wydzierał:

— Miejże pan rozum, panie profesorze!

— To nie tatę, ale pana trzeba związać!— zawołał dwunastoletni Kajcio Afrodziewicz.

W tejże chwili wypuścił profesor ze swych objęć sędziego a pochwycił jego syna.

— Coś ty malcze powiedział? co?... No, za karę powtórz mi całą deklinacyę tipto. No! tipto, tipteis, tiptei .. nuże, bo cię do karceresu zamknę ..

Tu chciał malca pochwycić za ucho. Kajcio wyrwał się i począł uciekać, profesor puścił się za nim w pogoń, roztrącając wszystkich po drodze.

— To oryginał! — zawołał Kostuś.

Sędzia Afrodziewicz zaśmiał się grubym głosem.

— Facecyonista! — osądził Wacio — waryata udaje!

Sędzia zaśmiał się jeszcze grubszym głosem.

— On się po prostu upił! — rzekł pan Tecudziński.

Sędzia Afrodziewicz zaśmiał się najniższym basem.

Pan Kalasanty, po daremnej pogoni za Kajciem, powrócił zziajany i ująwszy sędziego obiema rękami za klapy fraka, począł go całować i prosić coraz natarczywiej, aby za niego pojechał do Leśnej Wólki i udawał waryata, a on tymczasem jego kwadratury będzie pilnować...

Sędzia się nie śmiał. Spoglądał z obawą na srodze targane klapy u fraka.

W tej chwili weszła do salonu, prowadzona przez matkę panna młoda.

XVIII.

Piękna była w tej białej, muślinowej szacie ślubnej, z zielonym na głowie wianuszkiem, piękna z tą bladością i oczyma pełnemi łez. Biały welon, na głowie upięty, spadał aż do jej stóp.

Prowadzona przez kapitanowę, weszła drżąca, oczyma szukając tego, którego ukochała dziewiczem sercem, a który przyrzekł jej, że ją wybawi od nienawistnego narzeczonego i że wszystko „będzie jeszcze dobrze". Czy wierzyć? czy mieć jeszcze nadzieję? — pytały jej oczy pana Floryana.

— Kocham! — odpowiedziało jej jego spojrzenie. A nie było smutku w tem spojrzeniu. On ufa jeszcze... Ale w co? w co?.. tu chyba cudu potrzeba, aby ją wybawić!

Wzdrygnęła się: poczuła wzrok pana Mikołaja. Patrzał na nią tak bezwstydnemi oczyma!

Zewsząd posypały się wyrazy podziwu, zewsząd oklepane komplementa i powinszowania. Ściskały ją kobiety i całowały panny, mężczyźni zbliżali się kolejno, aby jej powiedzieć jakąś grzeczność i złożyć życzenia. Mikołaj tylko nie ruszył się z miejsca i Floryan. Obaj patrzyli na nią — ale jakże różnym wzrokiem.

Wreszcie obaj przystąpili do niej równocześnie. Mikołaj śmiało ujął ją za rękę, którąby rada była mu wydrzeć... i pocałował. Floryan rzekł wtedy, ze szczególnym jakimś akcentem, kładąc przycisk na każdem słowie.

— Wszyscy składają pani życzenia.. i ja składam moje... i ufam, że się spełnią. Niech pani wesoło w przyszłość spogląda!...

Spotkały się ich spojrzenia Jej wzrok mówił: Nic nie rozumiem... drżę.. umieram z trwogi..

Czytał Floryan w jej oczach jak w otwartej książce — i rzekł po chwili, dobitnie wymawiając każdy wyraz:

— Mogę ufać w szczęście pani — bo Mikołaj jest moim przyjacielem. Niech mu pani ze wszystkiem zawierzy, można na nim polegać. On nie zdradzi zaufania...

Rozjaśniły się radością jej oczy? Z wyrazem wdzięczności i zdziwienia spojrzała na Mikołaja. Jakto? więc ten, którego się tak obawiała, którego nienawidziła z głębi duszy, ten jest przyjacielem jej ukochanego, sprzymierzeńcem ich?! O, w takim razie on sam zerwie ten związek!.. Czemuż go dotąd nie zrywa? Czemuż się oświadczył? Czemuż był zawsze taki natrętny i tak gorąco się zalecał? Czy to była próba jej stałości?... Cóż oni zamierzają teraz, doprowadziwszy aż do dnia ślubu?... Ah, czy się tylko Florek nie zawiedzie na tym człowieku, który ją pożera tak szkaradnemi oczyma!...

— Wszystko zatem fertig! Musimy się już wybierać... jechać do kościoła. Już czas.

— Ależ panie kapitanie.. kochany teściu, należy poczekać jeszcze na pana Czecieczewicza. Ja mam nadzieję, że on przyjedzie. A jeżeli zachorował, to nam pan Antoni da znać..

— A po co na niego czekać! to jak sem przyjedzie, to mu powiedzą tu, że my już w kościele — to do kościoła pojedzie. Sam sobie winien, że się spóźnił.

— Ależ papo drogi, jakże ślub brać bez błogosławieństwa dziadzi?

— To niech sem potem błogosławi was.

— O nie, kochany teściu, musimy poczekać koniecznie! Toby nam wszyscy za złe mieli... i pan Czecieczewicz także

— Sandor!... — błagalnie wtrąciła kapitanówna.

— To sem dla dam niegrzecznie, że tak czekają... — rzekł kapitan, zbliżając się do kanapy, na której siedziały panie.

— Ależ kapitanie, gorąco jesteś kąpany!— zawołała ze śmiechem pani audytorowa Glińska. Trzeba koniecznie poczekać!

— A ksiądz? — przypomniał sobie jeszcze kapitan. On się nie zechce cierpliwić.

— Ja księdza nie zamówiłem tak wcześnie— dodał Mikołaj. Ślub ma być dopiero za godzinę. Po cóż mamy czekać w kościele. Czy nie lepiej tutaj?

XIX.

— Panie sędzio! ho! to nic nie pomoże! pokaż mi pan swoją kwadraturę! już ja wiem jak sobie z waryatami radzić! Ja panu kaftan nałożę!... Pojedziesz pan do Leśnej Wólki!

Wrzeszczał Kalasanty na całe gardło, ciągnąc pana Afrodziewicza za klapy od fraka aż do ziemi. Otyły sędzia bronił się, jak mógł, sapał ze zmęczenia i przerażenia i prosił o pomoc. Już nie miał wątpliwości z kim ma do czynienia.

— Lieber Mikołaj! co to sem znaczy? — zapytał kapitan marszcząc czoło.

Mikołaj przyskoczył żywo do stryjaszka, trącił go niezbyt delikatnie pięścią w plecy i silnym głosem kazał mu iść do kąta.

Kalasanty puścił bezzwłocznie z rąk swych ofiarę, pochylił się ku ziemi i posłuszny jak dziecko dał się zaprowadzić w róg salonu. Obrócił się twarzą ku ścianie i czołem o nią się oparł. Tak stał, skubiąc zapamiętale swoją brodę.

— Nie ruszy się teraz ztamtąd, dopóki mu nie pozwolę—rzekł Mikołaj. — Przepraszam państwa najmocniej za ten cały wypadek, ale nie mogłem go przewidzieć. Stryjaszek już od roku zachowywał się zupełnie spokojnie u mnie na wsi. Będę go musiał znowu oddać do zakładu.

Zwabieni krzykiem Kalasantego wszyscy goście weselni zbiegli się do salonu. A skoro się dowiedziano, co się stało, po konwencyonalnych wykrzykach ubolewania, które przyzwoitość wymagała, zwolniono wrodzoną ciekawość z więzów dyskretnego milczenia i rozkoszowano się już bez hipokryzyi niespodziewaną emocyą, jaką ten nadzwyczajny na weselu wypadek nastręczał. Rozpytywano Mikołaja o przyczyny tego obłąkania i o rodzaj waryacyi, domagano się szczegółowego opowiadania niedorzeczeństw, jakie nieszczęśliwy zwykł popełniać. Bawiono się wybornie.

Nic tylu na świecie nie ściąga ciekawych, jak pogorzelisko, ruina, nieszczęście, śmierć!... Tak było zawsze, tak i dziś. „Miło z bezpiecznych wybrzeży patrzeć na tonące okręty", śpiewał rzymski poeta. Miło było patrzeć Rzymianom na ginących w cyrku gladyatorów, miło Hiszpanom płonących na stosach widzieć męki. A i dziś, jak to rozchwytuje publiczność sprawozdania gazeciarskie dzikiej jakiejś zbrodni, okrutnego morderstwa! jak ciśnie się do sali sądowej, gdzie sądzą zabójcę! jak dobija się o miejsce przy egzekucyi zbrodniarza! A spytajmy w domach obłąkanych: ilu codzień ludzi ubiega się o wstęp. Dla odwiedzenia znajomych? nie. Dla nauki? nie. Po cóż więc? Oto dla zabawy i dogodzenia ciekawości.

Trafiła się gratystka na weselu kapitanówny. Bawiono się wybornie.

— Cóż teraz będzie z planem naszym? — zapytał Florek po cichu Mikołaja.

— Nie wiem... — odrzekł lakonicznie, jakby go to wcale nie obchodziło.

— Kalasanty już w tym stanie nie da się użyć?... nie spełni co mu każesz?

— A, to widoczne przecież! — odparł Mikołaj chłodno.

— Cóż będzie?... już teraz byłaby pora.

— Z-pewne.

— Cóż myślisz zrobić?

— Nic.

— Jakto nic?

— Ha! widocznie Bóg tak chce, abym się z nią ożenił. Cały twój taki mądry plan udaremniony. Nie ma rady.

I w głos się roześmiał.

— Żartujesz, czy co? Tu nie czas na żarty!... To ty sam nas zamknij. Wanda jest teraz w alkierzyku sama jedna. W przyległym pokoju nikogo nie ma, nikt nie zobaczy. Choć.

— Ja?... i potem może mam waryata udawać?... O, nie chcę!

— Ale nie, nie potrzebujesz waryata udawać: wszystko spadnie na Kalasantego.

— Co ci się marzy! Każdyby się domyślił. Nie głupim! Wolę się już chyba ożenić... hm, hm... choć ten Czecieczewicz napisał do waszego dziennika, że cały majątek na cele dobroczynne przeznaczy. Ha, trudna rada!... trzeba się będzie zdecydować... Dziunia taka dziś ładna!...

Florek patrzał na niego osłupiałym wzrokiem.

Mikołajek zadowolony parsknął śmiechem.

— Zresztą... zresztą . phi!... nie wiem jeszcze... namyślę się...

— Ale tu nie ma czasu do namysłu!... Mów! co zamierzasz?

Mikołaj spojrzał na zegarek. Fiakier jakiś zaturkotał po bruku. Mikołaj wyglądał przez okno:

— Nie, to nie on.

— Cóż będzie?—pytał natarczywie Florek.

— Będzie jak Bóg zechce! — odrzekł sentencyonalnie.

XX.

Nie w ciemię bity był Florek. Widział co się święci.

Zbiegł co prędzej ze schodów i postanowił czekać na przyjazd pana Antoniego.

Niedługo czekał. Zajechała jednokonka i zatrzymała się przed domem. W jednokonce siedział pan Antoni blady jak śmierć.

— Cóż? — zapytał pan Floryan.

— Co?... umarł! — i wysiadłszy z powozu, zabierał się iść na schody.

Floryan zatrzymał go za ramię.

— Nie mów pan nikomu co się stało.

— Czemu?

— Wszak to dziadek panny młodej. Będą musieli wszystko odroczyć!

— A, to i owszem... Jak odroczą... co? to będzie można jeszcze Mikołajka wysadzić.

— Przeciwnie jak się Mikołajek dowie o śmierci dziadka i o sukcesyi — to go nikt już nie odpędzi.

— Ale jak nie powiem, to ślub odbędzie się dziś, za godzinę.

— Bynajmniej, on zerwie wszystko.

(C. d. n.)

KRYTYKA.

Polacy w południowo-zachodnim kraju: ustęp tomu VII. dzieła p. t. Prace etnograficzno-statystycznej ekspedycyi do zachodnio-russkiego kraju.

(*Ciąg dalszy.*)

Co do przypisywanego jej przez pana M. wstrętu do idei postępowych, mianowicie we względzie kwestyi emancypacyi kobiet, to sprawa

ta nie stoi w Polsce gorzej, jak w innych ucywilizowanych krajach w Europie. Spoczywa to w naturze ludzkiej, że do tego dążymy i tego pragniemy, czego nie posiadamy. Moskiewka pogarnęła się gorąco ku emancypacyi, dla tego, że ta przedstawiła s ę jej pod postacią wyzwolenia z więzów rodzinnych, społecznych i towarzyskich, które Polki nie krępowały. Najobojętniej i bodaj czy nie z największym wstrętem kwestya ta przyjętą została przez Szwajcarki. Te nie garną się do niej, nie czując potrzeby wyzwalania się. Uniwersytety w Szwajcaryi zapełniają Moskiewki; Szwajcarki trzymają się od takowych z daleka — i nie zbliżą się, aż z czasem, później, kiedy sprawa dojrzeje i ostrych kantów się pozbędzie. Tak samo sprawa ta stoi i w odniesieniu do Polek, które ją, pierwej zanim do niej przystąpią, rozpatrują ze stron wszystkich, ważą, studiują, zaczynając nie od uniwersytetów, ale od abecadła. W Polsce, w chwili obecnej, sprawa ta stanęła na porządku dziennym, jako kwestya pracy kobiecej — rozwija się na polu zrównania mężczyzny z kobietą w stosunku do pracy. Nie myślimy, ażeby takie opatrzenie emancypacyi wstępem miało emancypacyi szkodzić. Dziwimy, że pan M., którego p. Czubiński przedstawia jako znającego społeczeństwo polskie na wylot, nie dostrzegł kierunku tego i nie widział wcale szlachcianek, nie z igiełką, ale z szydłem w ręku. Nie widział — powtarzamy — bo widzieć nie chciał.

Na polu życia publicznego, od którego Polacy w krajach zabranych odsunięci byli absolutnie, musiał pan M. do katakomb zstąpić i wyciągnąć ztamtąd demokracyę. Zbył ją jednakże krótko, twierdząc, że szlachta nie sympatyzowała z nią. Pewnie, że sympatyzować nie mogła z tem, co Sybirem groziło. A jednakże, ona to głównie ona dawała kontyngiens, z którego się utworzyła bogata martyrologia polska demokratycznej barwy. I nie sympatyzowała, i ofiary niosła! Fenomen ten dziwnie jakoś wygląda. Podawszy atoli powyżej historyczną genezę demokracyi polskiej, objaśniającą to zjawisko, nie będziemy już do przedmiotu tego powracali, a powiemy słówko o kierunkach przejawów demokratycznych, których pan M. podaje trzy: bałagulstwo, kozakofilstwo i chłopomania. Bałagulstwo, objaw chorobliwy, który przeminął rychło pod desapprobacyą zdemoralizowanego — według p. M. — do głębi społeczeństwa, służy wszakże za świadectwo, jako w łonie tegoż społeczeństwa nurtowały prądy demokratyczne. Prądy te przejawić by się musiały inaczej, gdyby na demokracyi nie ciężyło ambargo rządowe, dzięki któremu zbytek życia wylał się w postaci mętów. Bałagulszczyzna zczezła sama przez się, a gdy już się ku skonaniu miała, rząd przyaresztował pana Sz., który się tytułował królem bałagułów. Pan Sz. zapytany przez gubernatora o królewskość swoją, odpowiedział, że się nie przyznaje do takowej, z powodu, że nie uważa, ażeby istnieć mogło dwóch monarchów w państwie jednem. Ta anegdota stanowi jedyną pozostałość wspomnieniową z procesu bałagułom przez rząd wytoczonego. Ukaranego nie było ani jednego. Kozakofilstwo, którego jedynym w literaturze przedstawicielem jest M. Czajkowski (Sadyk-pasza, renegat potrójnie), do innej należy kategoryi. Jest to objaw czysto polityczny tylko w Czajkowskiego powieściach; poezyi (Malczewski, B. Zalewski, Goszczyński, Gosławski, Słowacki, i inni) służył on za motyw do strojenia bardonu, wzięty w duchu i w znaczeniu narodowem; w życiu była to pozostałość z czasów dawniejszych, z tych czasów, kiedy to panowie pułki kozackie na żołdzie trzymali i wyprawy na ich czele przedsiębrali. Wszystko to razem wzięte szczepiło się i krzewiło *tant bien que mal* na gruncie demokratycznym, wydawało panewkowe wybuchy, w sensie atoli praktycznym okazało się anachronizmem. Chłopomania, ta jedna występuje w charakterze bezpośredniego demokracyi wyniku, a występuje, pomijając kwestye podrzędne stroju, alfabetu etc., jako dążność zbratania szlachcica z chłopem, dążność (tu znów zaznaczony powyżej fenomen s'ę jawi), wyrazicielką której jest sama szlachta. Ta wszakże, jak pan M. twierdzi, nie sympatyzowała z dążnością ową, a na świadectwo powołuje zachowanie się jej w 1863 r., kiedy chłopomania do oręża się wzięła; przytacza nawet szlachtę podolską, która wręcz odmówiła wzięcia w powstaniu udziału. Sprawa ta znana nam jest z bliska. Szlachta udziału w powstaniu nie odmówiła, ale ociągała się; ociągała się zaś nie z powodów wstrętu do postulatów demokratycznych, ale po prostu dla tego, że broni nie było. Podole całe posiadało do uzbrojenia się sto z czemś sztuk strzelb myśliwskich i trzydzieści sześć szabel. Było tu czem wojować? Nie dziw przeto, że z gołemi pięściami nie chciało się jej figurować w szeregach powstańczych.

Mówiąc o chłopomanii, dotyka pan M. stosunku jej do ruchów, jakie objawiła inteligencya na lewym brzegu Dniepru. Ruchy owe szczegółowiej podaje p. Dragomanów w przytaczanym przez nas powyżej *Wiestniku.* Z jednego i z drugiego to wynika, że do porozumienia nie przyszło, dla tego, że młodzież polska zapatrywała się na sprawę ludową z punktu polskiego, ruska zaś — z moskiewskiego. Z młodzieży polskiej wydzielili się *pieredowyje ludi* (mowa zapewne o Antonowiczu) i przystali do ruchu wielkorossyjskiego, jaki się zamanifestował w początku 60tych lat.

O obyczajach, zwyczajach i życiu szlachty chodaczkowej znajdujemy króciuteńką jeno wzmiankę, zaznaczającą jej pretensye do tytułu „waćpan" i niechęć do powstań. Nie znajdujemy wszelako ani cienia wzmianki o robotach, do których szlachta na Rusi oficyalnie powołaną była, i które na celu miały wyrażenie jej opinii w odniesieniu do ludu. Mówimy o obradach nad kwestyą włościańską, jakie pod koniec 50 lat odbywały się, na wezwanie rządu, w Kijowie, w Żytomierzu i w Kamieńcu. Szlachta polska, wychodząc z konserwatywnego punktu zapatrywania się, nigdzie się przeciwko wyzwoleniu ludu nie oświadczyła; żądała uwolnienia i uwłaszczenia. Dla czego to czyniła? dla tego, że konserwatyzm jej przenikała demokracya, do której ona wstrętu nie czuła: gdyby bowiem wstręt czuła, toć postąpiłaby w tej mierze, jak *dworianie* wielkorossyjskich gubernij, to jest, domagałaby się uregulowania stosunków włościańskich na podstawie poddaństwa. To takie proste i jasne. Pan M. o tem ani słówka nie wspomniał, pomimo, że rzecz ta nosi na sobie stępel urzędowy i że pan M. urzędową, przez ministra opłacaną i przez gubernatorów protegowaną, spełniał misyą.

Osobliwości literatury i języka. Rozdział ten nie wiele w sobie interesu dla czytelnika polskiego przedstawia. Jest on wzięty z dwóch opracowań — z „Hist. literatury polskiej," Wł. Spasowicza i ze „Słowniczka prowincyonalizmów podolskich," dra A. Kremera. Z pierwszej wyjętym jest ustęp o pisarzach polskich szkoły ukraińskiej, z drugiego kolumn dziesięć wyrazów ruskich, przyswojonych przez język polski. Za nitkę do szycia służą uwagi autora, pana M., który ze zdziwieniem zaznacza tę osobliwość, że mowa polska nasiąkła właściwościami mowy ruskiej. „Pomimo zupełne — powiada — wyodrębnienie się stanu oświeconego w południowo-zachodnim kraju od tuziemnej masy narodu w ciągu dwóch wieków; pomimo wszelkie usiłowania do ignorowania i pogardzania wszystkiem południowo-ruskiem, jako chłopskiem: stan ten nie mógł, do pewnego bodaj stopnia, nie poddać się wpływowi właściwości kraju." Nie mógł nie poddać się wpływowi kraju rodzinnego. W tem dziwnego nie ma nic, jak również i w tem — co pan M. jako dowód obcości polskiej zaznacza — że to nastąpiło nie wcześniej, nie w złotym wieku literatury polskiej, ani w epoce stanisławowskiej, ale w czasach nowszych. Do czasów epoki stanisławowskiej włącznie panował w literaturze powszechnej, a z nią i w polskiej, nastrój klasyczny. Zapatrywano się na wzory greckie i łacińskie: że zaś Ruś nie miała w świecie naukowym tej powagi co Grecya i Rzym, że nie wydała ani Homera i Wirgiliusza, ani Pindara i Horacyusza, rzecz przeto naturalna, że pisarze polscy nie zwracali się do niej po wzory, nie przestając atoli od początku do końca czerpać co się dało ze skarbnicy jej językowej, celem kształtowania i bogacenia mowy polskiej. Nie tylko wspomniani w odsyłaczu. Szymonowicz i Zimorowicz, ale i Rej i Kochanowski, zwłaszcza zaś Trębecki mowę ruską wyzyskiwali, jako swoją, jako rodzimą, nie przewidując, ani przyśniwając, że się kiedyś p. Michalczuk dziwić temu będzie. Rej zresztą pochodził z Rusi, równie jak mnóstwo pisarzy polskich, starych i nowszych. Orzechowski pisał się *natione polonus, gente ruthenus.* Gdy zaś nastąpił zwrot romantyczny, wnet pisarze polscy Rusini zwrócili się do motywów narodowych, czerpiąc takowe z gniazda własnego. Poeci, co Ukrainę ospiewywali, powieściopisarze, którzy na tle podolskiem, wołyńskiem i ukraińskiem obyczajowe, zwyczajowe, romantyczne i historyczne obrazy rozsnuwali, wszystko to byli Rusini, tak samo i z tego samego tytułu, co Sewczenko, Rusin prawobrzeżny, co Kotlarzewscy, Hohola, Hulacy-Artemowscy, Kwitkowie, Wowczkowie, Kostomarowie, Dragomanowie, Rusini lewobrzeżni. Ci i owi są przedstawicielami inteligencyi ruskiej, wyhodowanej mlekiem Rusi, a zatem do niej się zwracającej, jako do naturalnej karmicielki swojej. Zaznaczyliśmy więcej, że Polacy dali impuls tak politycznemu, jak literackiemu ruchowi na Rusi. Co do ruchu literackiego, potwierdza zdanie nasze p. Dragomanów, z tym atoli dodatkiem, że Polacy dali wprawdzie impuls, ale ustali w rozpatrywaniu przeszłości i zbieraniu materyałów. Tak jest w rzeczy samej. W dalszem tej pracy prowadzeniu potrzebowali, jeżeli nie poparcia, to przyzwolenia oficyalnego. Czy by im takowe udzielonem zostało? Gdzieby się oparł Polak, któryby, jak p. Czubiński, puścił się w objazd po kraju? Pomijając atoli okoliczność tę nie mało ważną, to powolność ich w tej pracy tłumaczy się i usprawiedliwia dostatecznie tym względem, że nosili ją oni do składów polskich, obstawionych wartą moskiewską, które z oglądaniem się na wartę przyjmowały tego rodzaju materyały. Względem Rusinów, jako *russkich* (eufemizm), zawsze Moskale łaskawszymi się okazywali, aniżeli względem Polaków. (D. n.)

Zygmunt Miłkowski.

*

Przegląd nowszej literatury historycznej.

przez

M. CHYLIŃSKIEGO.

II.

(*Publikacye archiwalnych dokumentów. Dzieła Rankego, Droysena, Onckena. Pruskie papiery rządowe w opracowaniu Kosera. Źródła do historyi austryackiej polityki od 1790–1801 wyd. Vivenota. Dzieła A. Beera. Prace Kalinki Jarochowskiego: Sprawa Kalksteina. Historyczne opowiadania Szujskiego. Kodeks Wielkopolski.*)

W dawniejszych czasach zadowalało się dziejopisarstwo na zestawieniu faktów do pewnego okresu się odnoszących, opierając się na więcej lub mniej wiarygodnych materyałach. Bystrej i wszechstronnej krytyce używanych źródeł poddawać nie można było. Prace też badaczy, pragnących gruntownie rozświecić jakąś epokę dziejów, natrafiały na liczne przeszkody, a główną stanowiła okoliczność, że przeważna część dokumentów oryginalnych zgoła nie przystępną była dla pracujących. W sekretnem ukryciu spoczywały one pod szczelnym zamkiem w rządowych archiwach i tylko w bardzo rzadkich wypadkach można było niektóre z nich przejrzeć.

Praktyka ta w ostatnich dziesiątkach lat złamana, a wybitne tego ślady nosi na sobie nowoczesna historyografia. Archiwa stoją dziś otworem dla badaczy, a z nich ciągle nowe papiery oddawane bywają pod sąd publicznej opinii. Lecz i w tym względzie przodują Niemcy.

W artykule, zastanawiającym się nad płodami nowszej literatury historycznej niemieckiej (Ateneum 1877 r.) wykazał p. Kaź. Jarochowski bardzo dowodnie, jak charakterystyczne wypadki z pola wojny i polityki zdołały nadać piętno zbiorowej fizyognomii wszelkim prawie płodom dzisiejszej historyografii prusko-niemieckiej. Głośnym dziełom Leopolda Rankego, uczonym rozprawom Jana Gustawa Droysena, zrobić się musi koniecznie zarzut politycznej tendencyjności, ale mimo to, prace ich zasłużonym cieszyć się będą rozgłosem w naukowym świecie. Dowcipnie zwie też p. J. Sybla, Rankego, Droysena, Onckena, Giesebrechta, Grünhagena, Noordena: *Kruppanei historyografii nowoczesnej*, których działa mogą przecież bez szkody doskonałości wyrobu przemawiać swym donośnym głosem w interesie bardzo rozmaitych spraw i racyi.

Pomijając już pięciotomowe dzieło Rankego, wydane w Lipsku 1875 r. p. t. „*Zwölf Bücher preussischer Geschichte*“, wspomnieć nam wypada o świeżo wyszłej monografii tegoż autora p. t. *Friedrich der Grosse, Friedrich Wilhelm IV.; zwei Biographien.* Z ostatnich zaś studyów Droysena zasługuje na uwagę ogłoszone w Lipsku z r. 1876 dzieło: „*Abhandlungen zur neueren Geschichte*“, a z 9 rozpraw w niem zawartych, uwadze polskiego czytelnika polecić wypada osnutą na archiwalnych materyałach rzecz o polityce pruskiej w latach od r. 1830 - 1832

Nie mniej ciekawą jest publikacya Wilhelma Onckena: „*Oesterreich und Preussen im Befreiungskriege,*“ rozjaśniająca dokumentami, czerpanymi z wiedeńskiego berlińskiego archiwum, polityczną historyą r. 1873. Z obfitej ilości aktów, którymi rozporządzał autor, wybrał on najznakomitsze, przetłómaczył je na niemieckie i dodał gdzieniegdzie krótsze lub dłuższe poglądy własne Nie jest to tedy dziełem historycznem we właściwem tego słowa znaczeniu, lecz zawiera w sobie materyał nieocenionej wartości, a ztąd też recenzent tego dzieła, p. Paweł Bailleau, o Sybla hist. czasopiśmie może słusznie zauważył, że lepiej było ograniczyć się wyłącznie na wydaniu samych aktów, a pominąć swoje zapatrywania, snowane nie zawsze na ściśle krytycznem tle.

Również i berlińska Akademia zdecydowała się dokumenta, wyjaśniające polityczną działalność Fryderyka II starannie zebrać i w możliwej pełności ogłosić W ten sposób ukazał się w Berlinie w ostatnich miesiącach ubiegłego roku I. tom dzieła: „*Preussische Staatsschiften aus der Regierungszeit König Friedrichs II.,* (1740 - 1745)“ w opracowaniu Dra. Reinholda Kosera. W publikacyi tej znajdujemy pismo z pierwszych lat panowania Fryderyka, pochodzące często wprost z pod pióra królewskiego, lub pisane w ministeryalnym gabinecie pod jego wpływem i wedle jego wskazówek, a często ulegające jego korekturze. Wydawca dzieli ogłoszone przez się dokumenta na dwie klasy, a mianowicie pisma rządowe w ścisłem tego słowa znaczeniu, których oficyalny charakter jasno występuje, i pisma ulotne. Pierwsza klasa obejmuje pisma, które bez oznaczonego adresu zwracały się wprost do opinii publicznej z przeważnie apologetyczną tendencyą, jak „*Exposés de motifs de conduite,*“ dedukcye historycznej i peryodycznej natury, deklaracye i t. p., a następnie patenta z oznaczonym adresem, dyplomatyczne akta lub listy ambasadorów uwierzytelnionych przy poszczególnych dworach europejskich.

Nie podobna nam na tem miejscu w całej rozciągłości przytaczać bogatej treści niniejszego dzieła, wystarczy wskazać tylko rozdziały, na jakie ono się rozpada. Pierwszy rozdział zajmuje się początkiem panowania Fryderyka II.; drugi pruskiemi pretensyami do Szląska, trzeci okresem aż do wrocławskiego pokoju, czwarty pokojowym rokiem 1743, piąty stosunkami między Prusami a Austryą w drugiej wojnie szląskiej, szósty stosunkami między Prusami a Anglią w latach 1744 —1745, a ostatni stosunkami między Prusami a Saksonią również w tej samej epoce. Wielce zajmującym jest wstęp, określający trafnie rozległą publicystyczną działalność Fryderyka.

Mówiąc o publikacyach archiwalnych nie podobna pominąć milczeniem lubo dawniej już ogłoszonego, ale nader ważnego dzieła Alfreda Vivenota, zmarłego dyplomaty austryackiego p. t. „*Quellen zur Geschichte der deutschen Kaiserpolitik Oesterreichs, während der französischen Revolutionskriege,*“ od r. 1790 1801. Wydawca, były c. k. radca legacyjny, zajmujący w rzędzie współczesnych sobie historyków wybitne miejsce, złożył w mowie będące źródła dopiero po jedynastoletniem, skrzętnem przetrząśnieniu tajnego archiwum wiedeńskiego. Tom pierwszy ogłoszony jeszcze w r. 1873 obejmował polityczną działalność austryackiego kanclerza księcia Kaunitza, pod rządami cesarza Leopolda IIgo od stycznia 1790, aż do kwietnia 1792 r.; — w tomie zaś drugim odsłania wydawca politykę austryackiego wicekanclerza hr. Filipa Cobenzl za panowania Franciszka II. i nakreślił z niepospolitą zręcznością ówczesne dyplomatyczne stosunki gabinetu austryackiego od kwietnia 1792, do marca 1793 r. Z ram dyplomatycznych korespondencyi występuje w ponurych zarysach obraz wielkiej tragedyi państwowego rozkładu. Dla ilustracyi ówczesnej polityki uznał Vivenot za stosowne zająć się obszerniej epizodem odgrywającym się od chwili wstąpienia księcia Kaunitza, czem zarazem tłómaczy się specyalny tytuł drugiego tomu, polityka hr. Cobenzla, jakkolwiek ks. kanclerz, aż do sierpnia 1872, nominalnie sprawami rządowej kancelaryi zawiadywał.

Na materyałach zaczerpniętych również obficie z archiwum wiedeńskiego opisał Adolf Beer swoje dzieło p. t. *Leopold II, Franz II. u Katharina. Ihre Correspondenz nebst einer Einleitung.*

(Dok. nast.)

Piśmiennictwo niemieckie.

Gedanken über die Socialwissenschaft der Zukunft von Paul v. Lilienfeld. Mitau. Erster Theil, 1873. Zweiter Theil, 1878.

(Ciąg dalszy).

Widząc w społeczeństwie ludzkiem trzy strony rozwoju: ekonomiczną, prawną i polityczną, Lilienfeld stara się wykazać, że zachodzi zupełna czyli, jak on powiada, realna analogia pomiędzy temi trzema stronami rozwoju społecznego i trzema stronami rozwoju osobnikowego: fizyologiczną, morfologiczną i tektologiczną czyli indywidualną. Pierwsza strona czyli fizyologiczna ma na celu odżywienie organizmu, jej analogia z ekonomiczną jest bardzo widoczna. Morfologiczna warunkuje budowę i ukształtowanie organizmu. Formy zaś społeczne utrwalają się zwyczajami, obyczajami, prawami, co wszystko do prawnej dziedziny należy. Im wyższej ustrojowości jest osobnik, tem kształty oddzielnych jego części czyli narzędzi są więcej urozmaicone i zespecyalizowane. To samo widzimy i w społeczeństwie, w miarę jak prawne stosunki w niem rozwijają się i udoskonalają. Wreszcie indywidualna strona rozwoju osobnikowego zdąża ku temu, ażeby oddzielne części organizmu ułożyły się w spójną, harmonijną i świadomą siebie całość, organiczną jedność. Właśnie i władza polityczna ku temu dąży, a przynajmniej powinna dążyć. „Większa produkcya, słuszniejszy czyli odpowiedniejszy celowi, jak powiada Lilienfeld, podział mienia i korzystniejsze jego spożycie; większe rozczłonkowanie społeczeństwa przy równości prawnej; odpowiedniejsze celowi podporządkowanie pojedyńczych części całemu organizmowi przy większej samodzielności tych części, oto są momenty rozwoju społecznego, które odpowiadają wogóle postępowi w przyrodzie organicznej. Momenty te możnaby jeszcze króciej ująć w pojęciu: własności, prawa, władzy i wolności, a wówczas prawo postępowego rozwoju możnaby wyrazić jako potęgowanie się własności, prawa i władzy w połączeniu się z coraz większą wolnością“. (Str. 217, II).

Co to jest wolność? Jest to ruch w pewnych granicach. Bezwzględna wolność jest pojęciem metafizycznem; realna zaś wolność jest zawsze względną, jest zawsze ograniczoną. Jakim jest w ogólnej przyrodzie stosunek materyi do siły, takim jest w społeczeństwie ludzkiem stosunek własności, prawa i władzy do wolności. Jak materya jest niejako skupieniem, koncentracyą, siła zaś objawem na zewnątrz; tak dążność społeczna ku nagromadzeniu, koncentracyi prowadzi do własności, prawa i władzy, dążność zaś ku rozpraszaniu się, ujawnianiu się zewnętrznemu wyraża się jako wolność. „Materya bez siły a siła bez materyi nie daje się pomyśleć, tak samo jak twierdzenie bez przeczenia. Tak samo i w dziedzinie społecznej: własność, prawo, władza są niczem innem jeno tylko wolnością, która w pewnych formach, położeniach i stosunkach koncentruje się; wolność zaś znowu jest to tylko własność, prawo, władza, kiedy działają na zewnątrz. Własność, prawo, władza, jest to skoncentrowana wolność; wolność zaś jest to własność, prawo, władza, ujawnione na zewnątrz“. (Str. 116, I).

Wywody te Lilienfelda, które przedstawiłem tu w zwięzłem streszczeniu, a które on rozwija obszernie i popiera faktami, czerpanymi głównie z politycznej ekonomii, są oryginalne, i nie można im odmówić znacznego stopnia prawdopodobieństwa. Lecz i zarzutów nie braknie. Przytoczę tu tylko jeden, który od razu nasuwa się umysłowi. Autor wymienia tylko trzy strony rozwoju społecznego: ekonomiczną, prawną i polityczną; a gdzież się podziała strona naukowa, pedagogiczna? Niepodobna jednak nie widzieć jej wielkiego znaczenia i samodzielnego stanowiska w społeczeństwie.

Porównywając dalej organizm osobnikowy i społeczny, widzimy w nich wzrost i wieki. Rodzenie jest właściwie tym samym aktem, co i wzrost. Jeżeli komórki, nie oddzielając się od siebie, mnożą się liczebnie, nazywamy to wzrostem; jeżeli oddzielają się i zaczynają żyć samodzielnie, uważamy to za płodzenie. Oddzielanie się to w życiu społecznem przedstawia się jako emigracya do innych krajów albo jako zakładanie nowych kolonii. Społeczeństwa jak i rośliny, pod wpływem nieprzyjaznych warunków, mogą obumierać, a wraz z powrotem pomyślniejszych odradzać się. Im bardziej społeczeństwo się rozwija, tem większa jego zdolność samodzielnego

rodzenia i odradzania się. Wieki społeczne można uogólnić, ustanawiając trzy główne peryody; rozkwitanie (młodość), kwitnienie (dojrzałość) i przekwitanie (starość). Rozpadanie się społeczeństw można uważać za ich śmierć; wreszcie są zabytki historyczne, stwierdzające, że narody i rasy całe wyginęły. Jest dzieło Gerlanda, w którem autor starannie bada wymieranie pierwotnych ludów. Znakomity przyrodoznawca, Baer, odkrył bardzo ważne prawo, że każdy organizm wyższej ustrojowości w pierwszych stadyach rozwoju swego embryonalnego ma wiele wspólnych cech z niższymi organizmami, jeśli je weźmiemy także w pierwszych stadyach rozwoju. Baer uogólnił to prawo, mówiąc, że „rozwój zawsze postępuje od ogółu ku szczegółom“. Nasamprzód zarodek ludzki przedstawia się jako zwykła komórka, w ten sposób powstają wszystkie żywe organizmy, zarówno zwierzęce jak i roślinne. Następnie, wraz z postępującym rozwojem pojawiają się cechy, które wyróżniają go od tworów świata roślinnego, ale są wspólne wszystkim zwierzęcym zarodkom. Cechy te, w miarę rozwoju, coraz bardziej specyalizują się, ukazując tylko wspólność z zarodkami kręgowców. Na pewnym stopniu zarodek człowieka i ryby nie przedstawia żadnej różnicy. Häckel wykazał, że czterotygodniowy zarodek ludzki ma zupełne podobieństwo z zarodkiem psa, kury i żółwia. Lecz rozwijając się coraz bardziej, uwydatnia naturę ssaka, wreszcie specyficznie człowieka.

Lilienfeld z zupełną słusznością przedłuża to prawo i powiada, że „dalsze stadya rozwoju osobnika ludzkiego odpowiadają stopniom postępowego, społecznego rozwoju całej ludzkości tak, jak nam je przedstawia historya“. Dzieci, zrodzone w społeczeństwach, pozostających na rozmaitych stopniach rozwoju, muszą w pierwszej chwili przedstawiać w umysłowym względzie zupełne podobieństwo do siebie; lecz wzrastając, jedne pozostają na tym samym stopniu, drugie podnoszą się na coraz wyższy, im wyższy wogóle jest stan uspołecznienia. W całym organizmie zachodzą pewne zmiany, lecz największe w systemie nerwowym jako najważniejszym. Zmysły może stają się mniej ostre, lecz za to bardziej zdolne do odróżniania wszelkich odcieni. Najlepiej o tem przekonywa postęp muzyki. Geiger dowodami historycznymi przekonał, że starożytni nie odróżniali niebieskiego od innych kolorów. Na dowód przytacza Rig-Wedę, Zend-Avestę, Biblię, pieśni Homera. Niemiecki wyraz „blau“ i angielski „black“ (czarny) mają wspólny pierwiastek w Sanskrycie. Chiński wyraz „hiccan“, który obecnie oznacza niebieską farbę, w starożytności oznaczał czarną. Demokryt i Pitagorejczycy przyjmowali tylko cztery zasadnicze barwy: czarną, białą, czerwoną i żółtą. Grecy i Rzymianie nie rozróżniali wyraźnie niebieskiego od fioletowego koloru. Człowiek od chwili narodzenia się aż do zupełnej dojrzałości przechodzi realnie wszystkie epoki historycznego rozwoju ludzkości, tak samo jak w stanie embryonalnym wszystkie peryody rozwoju zwierzęcej ustrojowości. W stopniowym rozwoju Europejczyka możemy odnaleść cechy charakterystyczne kamiennego, bronzowego, żelaznego peryodu, wieków starożytnych i średnich. Poszukiwania w tym względzie mogą mieć wielką doniosłość i dadzą początek embryologii społecznej, która stanie się niezbędnym działem socyologii.

Ważne to spostrzeżenie Lilienfelda, które stanowi prawdziwy nabytek naukowy, przedstawia stanowczy, rzec można, dowód, że społeczeństwo jest dalszym tylko stopniem przyrodniczego rozwoju żywych organizacyi, i że socyologia jest najzupełniej nauką przyrodniczą.

I wreszcie czyż może być inaczej? Społeczeństwo ludzkie czerpie swe siły z ludzi i ich przemysłu, biorąc ten wyraz w najrozleglejszem znaczeniu. Żadnej zaś siły w człowieku nie możemy zrozumieć, któraby nie była w przyczynowym związku ze znanemi nam siłami przyrody. Myśl ludzka nie powstałaby w mózgu, gdyby organ ten przestał się odżywiać krwią przypływającą. Zastój fizyologiczny byłby przecięciem i wątku psychologicznego. Przemiany zaś fizyologiczne w mózgu nie są możliwe bez chemizmu, elektryczności i ciepła. Zasada zachowania i przemienności siły dostatecznie to wyjaśnia. Słusznie powiada Lilienfeld, że w braku przeciwnych dowodów, już ta sama zasada stanowi nieprzeparte świadectwo, że w społeczeństwie ludzkiem mamy do czynienia z realnemi, przyrodniczemi zjawiskami.

Przemysł ludzki, jak już słusznie zauważał Paweł Janet, jest tylko dalszem rozszerzeniem i rozwojem pracy przyrody. Człowiek własne siły potęguje siłami przyrody i czyni je dziedzictwem społecznem. Ręce swoje uzbraja w rozmaite narzędzia, czem uzupełnia i mnoży ich siłę; nogom przysparza szybkości albo ich czynność wyręcza; zmysłom nadaje ostrość, czułość, zdolność sięgania daleko. Wiedza jest dalszem rozszerzeniem i utrwaleniem tej industryi. Kapitalizuje się ona w mowie, podaniach, literaturze. Pięknie i naukowo uogólnił tę myśl Józef Supiński w swojej *Szkole polskiej gospodarstwa społecznego*, powiadając: „wiedza i praca nagromadzona w długim wieków szeregu, rozpościerająca się coraz silniej i coraz widoczniej po powierzchni fizycznego świata, jest zasobem społecznym, jest pierwiastkiem, na którym się rozwija świat ludzki, tak jak życie organiczne rozwija się na pierwiastkach świata powszechnego“. Kapitalizacya ta wiedzy i pracy jest zamianą sił czynnych w napięte. Widzimy tu znowu tylko dalszy ciąg świata organicznego, który jest wynikiem spotęgowanego napięcia sił, kapitalizacyi przeważnie światła i ciepła. Napięcie to sił ludzkich i organicznych gromadę ludzką zamienia w ustroj organiczny, w twór wyższej przyrodniczej ustrojowości.

Locke ważną ugruntował filozoficzną zasadę, że „nihil est in intellectu quid non antea fuerit in sensu“; zgodnie z Lilienfeldem uznajemy dzisiaj i to twierdzenie, że „nihil est in societate quid non antea fuerit in natura“.

(Dok. nast.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 15. marca.

Cały tydzień ubiegły, to jeden ciąg wyborów we Lwowie. Dla przeciętnego Lwowianina tego rodzaju gimnastyka językowa jest najmilszą rozrywką absorbującą ciało, duszę, czasami kieszeń, częstokroć objad, a z wszelką pewnością podeszwy u butów. Kto nie widział wtedy Lwowa, nie ma pojęcia do jakiego stopnia rozgrzewa się zapał agitatorów. Nie idzie tu o posła do Rady państwa, nie idzie o podnoszenie sprawy polskiej w Radzie państwa, ale o zrobienie psikusa protektorom przeciwnego kandydata. Nie dziwcie się tedy szanowni czytelnicy, że i kronikarz *Tygodnia* uniesiony prądem wyborczym, zapomniał o całym bożym świecie, pływał cały tydzień pośród tych fal agitacyjnych, zajadając na śniadanie hr. Gołuchowskiego, poprzestając na p. Dobrzańskim na obiad, a popiwszy to wszystko Rewakowiczem, jest tak najedzony nazwiskami kandydatów, że ich z pewnością do grobowej deski nie zapomni.

Rycerze pióra, lancetu, kodeksu, igły, kowadła i tym podobnych kunsztów wyzwolonych mięszają się razem jak groch z kapustą, jeżdżą fijakrami aż ziemia dudni, biegają, dowodzą, rozprawiają, grożą, całują — gdy stare parkany uginają się pod brzemieniem różnobarwnych plakatów. Trzeba przyznać, że jedni tylko posługacze publiczni opatrzeni garnkami z klajstrem i pędzlem przypominającym adeptów szkoły murarskiej, zachowują zimną krew prawdziwych Spartańczyków. Nie słysząc burzy miotającej gromy nad ich uszami, ze stoicką flegmą i krótką fajeczką w ustach, smarują niewinne ogłoszenia: Markiewicza o maśle, plakaty o taniem drzewie, smarują *Wielmożnego* Dyonizego Paparę, który mimo swej wielmożności zażartował sobie z wyborców lwowskich odbywszy poselstwo na tamten świat — i na to wszystko lepią hr. Artura, lepią dra Smolkę. Henryk Rewakowicz jest najodważniejszym, bo nie zważając na współpracownictwo w gazecie pokrewnej dyrekcyi teatralnej, pokrywszy *Dorę* swoją osobą, jako mąż nieustraszonej odwagi cywilnej, zetknął się hardo z maślanem ogłoszeniem w ten sposób, że całość jego plakatu czyta się: Henryk Rewakowicz wagi pół kilo za 56 ct.

Przez te kilka dni, wszystkie legalizowane i nielegalizowane na ratuszu usta komitetowych, wyglądały jakoby paszcze dział wyborczych, z których wśród dymu, huku, trzasku, dawano ognia nazwiskami kandydatów. Jeżeli my dobroduszni wyborcy prażeni takimi kartaczowymi pociskami wyszliśmy z tej rozprawy jako tako— to co się tyczy kul samych, wątpię ażeby ich zahartowane nazwiska nie doznały pewnego szwanku.

Nieprzyjacielskie bateryе, jak owi kmiotkowie broniący honoru swoich żydów, nie robiły sobie wielkiej ceremonii z kandydatami wylatującymi z armaty przeciwnika. Gdzie go pochwycą za głowę, za nogi, za ucho, za honor, za program, za patryotyzm, a nawet za uczciwość, pakują bez ceremonii do swego działa, i plują w oczy przeciwnika, oddając piękne za nadobne. Biedny hr. Gołuchowski aż dostał migreny, Rewakowicz przez dni pięć zniknął jak kamfora, a szanowny dr. Smolka niby ten Piłat w Credzie, opędzał się od rana do nocy licznym deputacyom, które na podobieństwo much jesiennych uporczywie siadały mu na nosie, zkąd zacny weteran parlamentarny nie miał już siły do ich spędzania.

Tymczasem w sali ratuszowej wre walka na słowa: p. Dobrzański przekonywa słuchaczy, że hr. Gołuchowski całym siedmdziesięcioletnim żywotem służył programowi, choć ten dopiero teraz komitet postawił, że ciało jego prócz głowy chorej na migrenę jest zdrowe jak ryba, że nawet o piętnaście kroków słyszy, gdy się doń mówi głosem redaktora „Gazety Narodowej.“ Człowiek odważny, w roku 1863 uformował swoim kosztem oddział, w roku zeszłym stanął na czele legionu tureckiego...

Wyborca Jolles: No, jeżeli on taki odważny, to czemu tu przed nami nie staje?

Wyborca Cukier: Albo dla czego z legionem tureckim dojechał tylko do Włoch i wrócił — gdzież tu odwaga?

Wyborca Dobrzański: Nie staje tutaj, bo go anonimami uprzedzono o demonstracyi, jaką mu nieprzyjaciele nasi mogą urządzić... Wrócił się z drogi do Konstantynopola dla braku funduszów na legion, co znów nie dowodzi braku odwagi, której dał dowody w r. 1863. Mając oddział pod swoją komendą i rozkaz uderzenia na wrogów, wstrzymał się z tem na własną odpowiedzialność, widząc dla oddziału tego niebezpieczeństwo.... Napisał memoryał do hr. Andrassego o sprawie polskiej..

Wyborca Cukier: Zwykły artykuł dziennikarski... Co innego deputowany dr. Smolka, jedyny znawca stosunków naszych...

Wyborca Dobrzański: Człowiek innych przekonań, główny inicyator milczenia w Radzie państwa... człowiek który dał słowo, że nie przyjmie mandatu poselskiego..

Jednem słowem pociski szły na ten temat rzucane z nadzwyczajną zręcznością, i z takąż odbijane, a w ślad za tem plakaty jeden: „Obywatele dr. Smolka nie chce być wybranym,... drugi: dr. Smolka z pewnością chce być wybranym, trzeci jako Zastrzeżenie manu propria dra. Smolki, notabene bez daty, w którem prosi aby go nie wybierano, czwarty z dwudziestu dziewięciu podpisami, że tylko jedynym posłem z miasta Lwowa może być dr. Smolka, który przyjmie mandat. A co przytem uwag po ulicach, które się tylko w przelocie uchwycić dało np.: panslawista, najlepiej iść za głosem komitetu, starzec siedmiodziesięcioletni i głuchy.. chcą rozbić głosy... mameluki stawiają podstępnie na swojego kandydata... pieniądze angielskie... Rewakowicz jedyny... Dość, że jedenastego marca ratusz był w oblężeniu, żydzi nawet tak jednozgodni kiedyindziej dzielą się na trzy partye — gorączka wyborcza się wzmaga, ciekawość publiczna naprężona, wielkie plakaty wciskają się przechodzącym wyborcom, ustne polecenia kandydatów jak owe memento mori kartuzów towarzyszą wam aż do drzwi sal wyborczych, — a w rezultacie... nikt nie otrzymał potrzebnej liczby głosów,... wybór musi być powtórzony we czwartek!...

Otóż tak się we Lwowie wybiera posła z żołnierską subordynacyą dla komitetu, którego się ustanawia dobrowolnie, a któremu się potem urządza fugas chrustas i nie słucha. Zapasnicy odetchnęli nie ustępując z placu i leżą obok siebie trzymając się za czuprynę, jak owi krakowscy chłopkowie podczas bitwy przed karczmą.

Nic dziwnego, że wśród takiej gorączki, cały Lwów zapomina o wszystkiem, o połowę mniej zajada ciastek w cukierniach, niezważa na śnieg i szarugę, nic nie wie, co uradziło stowarzyszenie oficyalistów prywatnych, które swą mrówczą pracą złożyło już parę kroć sto tysięcy kapitału na fundusz wsparć dla podupadłych członków swoich, wdów i sierót bez chleba.

I sprawozdanie z czynności Towarzystwa Zaliczkowego Lwowskiego przeszło jakoś bez komentarzy, panny Gabbi śpiewającej po polsku nikt nie adoruje, przyjazd panny Ehnn, panny Mantylli i pani Esipoff nie zwraca niczyjej uwagi, choć sążniste reklamy dziennikarskie nawet z Moskiewskiego Gołosu tłumaczone, gorliwie je kieszeni publicznej polecają. Darują zatem czytelnicy, że i kronikarz Tygodnia spracowawszy swe pióro, usta i nogi dla sprawy publicznej, musi odetchnąć trochę po tej forsownej szarży wyborczej, a zebrawszy zapas swych wiadomości i nowinek, dopiero w następnym numerze roztoczy przed Wami cały kram zwyczajnych w życiu Lwowa wypadków.

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Biblioteka podręczników administracyjnych.* Tom I Policya ogniowa i budownicza, (zbiór obowiązujących ustaw i przepisów) 8ka str. 127. Lwów 1878. 1 fl

— *Dzieduszycki Wojciech hr.* Studya estetyczne. 8ka str. 272. Lwów 1878. 1·40 ct.

— *Giller Agaton.* Aleksander hr. Wielopolski. Margrabia Gonzaga Myszkowski 8ka str. 124. Lwów 1878. 50 ct.

— *Krasiński Z.* Moja Beatrice. Kraków 1878 60 ct.

— *Nowosielski Teofil.* Pokój dziecinny. Podręcznik w duchu Froeblowskim do użytku matek z 20ma tablicami wzorków litografowanych, zawierający poglądowy sposób rozwijania władz umysłu i serca dzieci, od lat 3—6, 4° str. 64 ct. Warszawa 1878. 2 złr.

— *Polemika* Józefa Szujskiego z Ludwikiem Wolskim w sprawach narodowych. 8ka str. 109. Lwów 1878. 80 cnt.

— *Przygody w obrazkach* dla dziatwy (obrazki na płótnie) 4° 32 obrazki. Warszawa 1878. 1.25.

— *Trybulski Wincenty.* Stopniowa droga do książki czyli ułatwiony sposób nauki, czytania, pisania, rysunku i pierwszych zasad pisowni z 45 drzeworytami w tekście i jednym tytułowym ze wzorkami rysunkowemi i kaligraficznemi, oraz ze szczegółowem objaśnieniem dla uczących. Warszawa 1878 oprawne 2.50

— *Trzy baśnie.* Mądry kot, Księżniczka głogu, Kopciuszek. Książeczka z obrazkami litografowanemi in 4° Warszawa 1878. Oprawne 2.50

— *Zagadki w wierszykach* dla dziatwy 4° 32 obrazków na płótnie. Warszawa 1878. 1.25

— *Zastanów się* nad tem dobrze, przełożył z francuzkiego J. W-ner. Częstochowa 1877. 50 ct.

— *Złote okruchy.* (Les paillettes d'or). Wiązanka malutkich rad dla uświęcenia i uszczęśliwienia życia. Przekład z francuskiego. Wilno, 1877. 1 złr.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— *Piosnek i gawęd humorystycznych* M. Rodocia zeszyt VI. opuścił już prasę i wkrótce będzie w handlu księgarskim.

— Fenomenalny artysta!

Trzynastoletni uczeń Joseffiego, Maurycy Rosental, Lwowianin, przybył do Warszawy w towarzystwie swego ojca z zamiarem urządzenia koncertu.

W kołach muzykalnych w Wiedniu ten mały fenomen artysty zyskał sobie już szeroki rozgłos i talentem swoim zwrócił uwagę samego Liszta, który przysłuchując się jego grze nie mógł się powstrzymać od głośnych objawów zadowolenia i ucałowawszy chłopca, (jeżeli można tak nazywać artystę,) rzekł:

„Kryje się w panu niezwyczajny pianista, który niezawodnie ukrytym nie zostanie."

— „Przysłowia Salomona" przełożone i objaśnione przez Izaaka Kramstücka, ukazały się w tych dniach wydane drogą prenumeraty.

Tłómacz wyjaśnia w przedmowie, że przekład Pisma Świętego zaczyna od „Przysłów Salomona," dla tego, „że księga ta, pomimo trzydziesto prawie wiekowej istności swojej, odpowiada w zupełności obecnym pojęciom i wymaganiom, oraz tegoczesnemu wyobrażeniu o cnotach towarzyskich, o słuszności i moralności w społeczeństwie.

Tytuł księgi mianuje jej autorem króla Salomona, syna Dawida; ale zarówno jak cały ten zbiór może stanowić tylko część zdań Salomonowych, tak też i nie wszystkie w nim zawarte nauki od Salomona pochodzą, albowiem sama księga różnych podaje autorów.

Tradycya przypisuje zasługę zebrania i ułożenia tych nauk w jednę księgę pobożnemu Jechezkiahu, królowi Judzkiemu. Ten albowiem ustanowił zgromadzenie uczonych, których zadaniem było uregulowanie pism świętych. Ci więc uczeni zebrali tak z ustnego podania, jak z rozmaitych pism zdania, nauki, przysłowia i epigramy, ułożyli je w jednę całość, którą właśnie p. Kramstück w tłumaczeniu podaje.

Jedna z zalet stanowiących dźwięczność i harmonię stylu w poezyi biblijnej — zależy na zwięzłości i treściwości wyrażeń; ale właśnie ta zwięzłość i treściwość pociąga za sobą czasem niejasność, której tłumacz stara się zaradzić opatrując komentarzem każdy aforyzm.

Podajemy tu kilka próbek tej jędrnej mądrości Wschodu:

...Droga żywota jest w wysokościach dla myślącego człowieka by unikać otchłani w nizinie.

...Do człowieka należy uporządkowanie myśli, a od Boga pochodzi wyrażenie języka.

...Dom pysznych zburzy Bóg, a ustali granicę wdowy.

...Pierścień złoty w nozdrzach świni, kobieta piękna a wyzuta z obyczajności.

...Tygiel dla srebra, retorta dla złota, a badaczem serc jest Bóg.

...Słodkim zdaje się człowiekowi chleb obłudy, ale później napełnią się jego usta żwirem.

...Lepiej mieszkać w kącie na dachu, aniżeli z kobietą kłótliwą w domu wygodnym.

...Jeżeli rozpaczasz w czasie nieszczęścia, to szczupłą jest twoja siła.

...Ząb złamany, noga chwiejąca się — otucha na wiarołomcę w dniu niedoli.

...Nie chełp się z dnia jutrzejszego, albowiem nie wiesz co zrodzi dzień.

...Rynna ciekąca nieustannie w dniu deszczu, a kobieta kłótliwa, są obie równe.

...Gdybyś utłukł w moździerzu głupca wraz z ziarnem, tłukiem, nie odłączyłbyś od niego jego głupstwa.

— Konkurs historyczny. Towarzystwo Przyjaciół Nauk ogłasza dla chcących ubiegać się o nagrodę zadanie następujące: Pogląd na dzieje Słowian zachodnio-północnych między Elbą a granicami dawnej Polski, od czasu wystąpienia ich na widownię dziejową aż do utraty politycznego bytu i znamion narodowych.

W rozwiązaniu tego zadania pożądany jest szczególny wzgląd na:

a) związek etnograficzny między pomienionemi plemionami słowiańskiemi a ludnością Polski Piastowej;

b) stan kultury tychże plemion w owej epoce, mianowicie z rzutem oka na religię, zwyczaje i obyczaje, ustrój polityczny i społeczny, na stan rolnictwa, przemysłu, handlu, budownictwa i sztuki ówczesnej w ogóle;

c) zewnętrzny przebieg dziejowych wypadków, ze szczególnem uwydatnieniem wydarzeń, które spowodowały w różnych stronach Słowiańszczyzny północno-zachodniej ostateczną zagładę rozmaitych plemion;

d) wreszcie stosunek między temi plemionami a Polską.

Praca wyczerpująca w zupełności przedmiot ten oraz mająca odpowiednie zalety układu i stylu, a obejmująca przynajmniej 25 arkuszy druku w dużej ósemce, otrzyma 1.500 marek nagrody.

Jeżeliby między nadesłanemi taka się nie znajdowała, wtedy rozprawa względnie dobra, to jest

odpowiadająca przynajmniej głównym warunkom zadania otrzyma 900 mrk. nagrody.

Pozostałe 600 marek zostaną albo w całości przyznane dziełu najlepszemu po poprzedniem, albo też rozdzielą się między rozprawy przynajmniej częściowo przedmiot wyczerpujące.

Prace nagrodą uwieńczone pozostają własnością autorów, którzy jednakże będą obowiązani ogłosić je drukiem w przeciągu roku, po otrzymaniu nagrody. Gdyby tego nie spełnili, Zarząd, jeźli uzna stosownem, ogłosi je swym kosztem na dochód Towarzystwa. Manuskrypt przeto musi pozostać w rękach Zarządu.

Każdy rękopism opatrzony być winien dewizą lub jakim innym znakiem, a nazwisko autora dołączone w zamkniętej kopercie z równem oznaczeniem.

Ostateczny czas nadsyłania oznaczony na d. 1go października 1879 roku, pod adresem:

Hieronim Feldmanowski w Poznaniu, Młyńska ulica 35.

Wszystkie pisma nasze upraszamy o łaskawe powtórzenie powyższego ogłoszenia.

Poznań, w czerwcu 1877 r.

Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk Pozn.

— *Ateneum*, pismo miesięczne wychodzące w Warszawie, w zeszycie za miesiąc marzec zawiera: I.) Krasicki, życie i dzieła J. I. Kraszewskiego. II.) Powódź, powieść Fryderyka Spielhagena, w skróceniu opowiedziana przez Wincentę Limanowską. III.) Ludy pierwotne południowej Afryki dra Antoniego Rehmana. IV.) Dziś i jutro, wiersz Wacława Szymanowskiego. V.) Goethe. Zarys bibliograficzno-literacki przez P. Chmielowskiego. VI.) Towarzystwo nauk ścisłych w Paryżu w 1877 r. Maryana A. Baranieckiego. VII.) Krytyka i dwa tomy Źródeł Dziejowych przez St. Ł. (Stosława Łagunę.) VIII.) Kronika naukowa, przez Bronisława Reichmana. IX.) Kronika miesięczna przez Aleksandra Głowackiego (znanego pod pseudonymem Bolesława Prusa.) X.) Ogłoszenie.

Statystyka.

— Według relacyi p. ministra skarbu ogłoszonej w „Praw. Wiest.“, na przestrzeni całego Królestwa Polskiego istnieje tylko 18 kas oszczędności. We wszystkich tych kasach, z początkiem roku 1876 znajdowało się zaoszczędzonych 1,085.300 rs., w ciągu roku wpłynęło wkładek 414.324 rs., procenta uczyniły 41.725 rs., wzięto z kas kapitałów z procentami w ogóle 583.594 rs., zatem na rok 1877 pozostało w kasach 957.755 rs. To znaczy, że szczupluchny kapitał oszczędności zmniejszył się w roku 1876 o 127.545 rs.

— „Times“ podaje liczbę wyznawców religii mojżeszowej, na całej kuli ziemskiej rozrzuconych, na 4 do 5 milionów, z których przypada (wszystko w okrągłych cyfrach): na Europę 2,300.000, na Azyę 600.000, na Afrykę 60.000 i na Amerykę milion. Pod względem krajów Europy, liczba ta rozpada się tak: Anglia 13.000, Belgia 1.600, Szwecya i Norwegia 1.000, Dania 6.000, Francya 70.000, Holandya 50.000, Rosya i Polska 1,120.000, Austrya 630.000, z tego na Galicyę 600.000. Razem więc w Polsce całej doliczając Poznańskie 2,000.000. Czyli blisko połowa wszystkich żydów, a $^{6}/_{5}$ żydów europejskich. Niemcy 625.000 i Włochy 4.000.

Wiadomości ekonomiczne.

— Drogi żelazne w Królestwie Polskiem:

a) Drogi żelazne, których kierunek przez rząd zatwierdzony został.

1. Z Iwangrodu (Demblina), na Sieciechów Radom, Szydłowiec, Kielce, Chęciny, Jędrzejów, Miechów i Słomniki do Krakowa, z odnogą około Miechowa na Wolborm, Olkusz, Sławków do Strzemieszyc, przystanku drogi żelaznej Warszawsko - Wiedeńskiej.

2. Od stacyi drogi żelaznej Nadwiślańskiej Trawniki, na Krasnystaw, Zamość, Tomaszów (lubelski) ku Lwowu.

3. Od stacyi drogi żelaznej Łódzkiej w Koluszkach, na Tomaszow (rawski), Białaczew, Końskie, Wąchock, Wierzbnik do Ostrowca (gub. Radomskiej), dalej do Sandomierza są dopełnione studya.

b) Drogi żelazne, których studya kosztem rządu dopełnione zostały:

1. Z Lublina na Chodel do Ostrowca (radomskiego.)

2. Z Ostrowca do Sandomierza, dla połączenia z drogą żelazną z Krakowa do Lwowa w Rzeszowie lub Jarosławiu.

3. Z m. Łodzi na Pabianice, Łask, Zduńską Wolę, Sieradz, Opatówek do Kalisza, dla połączenia z drogą żelazną Pruską w Ostrowie.

4. Z Kutna na Koło do Słupcy, dla połączenia z koleją zagraniczną, idącą przez Wrzednią.

c) Drogi żelazne proponowane.

1. Z Ostrowca na Iwańsko, Stopnicę do Korczyna, dla połączenia z drogą Krakowsko - Lwowską w Tarnowie.

2. Z Częstochowy około wsi Borowic i Węzina do granicy pruskiej, dla połączenia z drogą na Rozenberg.

3. Z Sieradza około Złoczewa do Wieruszowa.

Wystawa paryska.

— Szanowny panie redaktorze! Komisya koncertów międzynarodowych na przyszłej paryskiej powszechnej wystawie oświadczyła najszczersze życzenie mieć w programach swoich utalentowanych organistów polskich. Jeżeliby zatem znaleźli się pomiędzy panami organistami polskimi tacy, którzyby zechcieli dać się słyszeć w czasie wystawy, to wielki organ w wielkiej sali Trocadero (miejsce wystawy) będzie ofiarowany do ich dyspozycyi w chwilach, kiedy sala będzie nie zajętą koncertami międzynarodowemi. Życzeniem komisyi jest danie możności poznać całemu zebranemu na wystawę światu przeważnie oryginalne kompozycye polskie na organ. Wystawa rozpocznie się oficyalnym koncertem francuskim 1. czerwca i ku tej epoce właśnie zapraszają się panowie organiści.

Programy ich mają być przedstawione komisyi na parę tygodni przed egzekucyą, wszelakoż mają najzupełniejszą swobodę zmienienia ich w razie, gdyby znaleźli ku temu potrzebę, ale też nie inaczej, jak z przedwczesnem zawiadomieniem o tem komisyi.

Jeżeliby ci panowie zażądali jeszcze jakich szczegółów w tym względzie, to upraszam o łaskawe zwrócenie się do mnie pod adresem: Rue de Clichy, 15 — Paris.

Z najgłębszym szacunkiem etc.

Członek komisyi koncertów międzynarodowych na paryskiej powszechnej wystawie *Wiktor Każyński.*

P. S. Byłbym bardzo wdzięczny szanownym panom redaktorom innych gazet, jeżeliby zechcieli przedrukować niniejsze pismo.

Nekrologia.

† J. A. Zaleski. Dnia 3go bm. umarł w Paryżu, w zakładzie św. Kazimierza, jeden z najstarszych weteranów polskich, pułkownik Jan Aleksander Zaleski w 93 roku życia. Urodził się na Litwie w 1785 r. Na pierwszą wieść o formujących się legionach we Włoszech pospieszył z Mohilewa do Łomży, lecz dla niezależnych od jego woli okoliczności dopiero w r. 1809 wstąpić mógł w stopniu podoficera do formującego się w Modlinie batalionu piechoty, który niebawem do 17 pułku wcielony został. Odbył kampanię 1812 roku, a w bitwie pod Borysowem ranny bagnetem w lewe ramię, ozdobiony został krzyżem srebrnym Virtuti militari. W odwrocie armii francuskiej pułk jego odkomenderowany został do obrony Modlina. Wzięty w niewolę, a następnie wypuszczony, wstąpił w stopniu podporucznika do pierwszego pułku piechoty Królestwa Kongresowego. Rewolucya listopadowa zastała go kapitanem. Walczył pod Grochowem, Białołęką, Wawrem, Dębem Wielkim, pod Iganiem i Jędrzejowem, i uczestniczył wyprawie Chrzanowskiego do Zamościa. Podczas szturmu Warszawy komenderował dwoma pułkami, a ranny w prawą rękę, którą do końca życia zaledwie mógł władać, zaraz po opuszczeniu stolicy przez wojsko otrzymał stopień pułkownika, krzyż kawalerski i miał sobie powierzone dowództwo brygady złożonej z drugiego i dwunastego pułku piechoty.

ROZMAITOŚCI.

Prysznic na ulicy. „Dobrą rzeczą jest prysznic i dobrą też rzeczą przechadzka, połączone jednak ze sobą te dwie dobre rzeczy, przestają być dobremi i przyjemnemi. Kto chce się o tem przekonać dowodnie, niech w porze deszczu przejdzie się około nowobudującego się domu na rogu ulic Mazowieckiej i Berga. Wprowadzona nad sam chodnik rynna obleje go strugą zimnej wody. Będzie więc miał prysznic... ale nie zdrowy i nie przyjemny.“

Tak pisze jedno z pism warszawskich. U nich to osobliwość. U nas we Lwowie, wszystkie rynny są tak urządzone, że albo sprowadzają całą wodę z dachów za kołnierz przechodniom albo wylewają ją im na nogi, a jednak my się z tem nie chwalimy zgoła. Lubo jest wyjść na ulicę w czasie deszczu. Ale naturalnie, oni tam mają kąpiele wiślane, więc nie potrzebują sztucznych urządzeń.

Ze sfery sług.

Pani. Stanowczo zabraniam ci odtąd przyjmować dzień w dzień różnych kumów i braci ciotecznych, — ci konkurenci nie podobają mi się wcale.

Kucharka. Ale proszę Pani, mnie się oni podobają, a przytem wszyscy bywają u mnie w uczciwych zamiarach... wszyscy chcieliby się ze mną ożenić...

Statystyk piotrkowski.

W Piotrkowie istnieje człowiek zażywający tabakę od lat pięćdziesięciu a mianowicie od 26-go roku swego życia.

Z narkotykiem tym obchodzi się on według starego zwyczaju, to jest, tabakę wysypaną z tak zwanych „ołówków“, przechowuje w kwartowym słoiku.

Wziąwszy tę miarę za jednostkę, obliczył, że już dotąd przepaścił przez nos dziewięć korcy i szesnaście garncy tabaki!

Waga jej podług tego obliczenia wynosi ośm centnarów i dwadzieścia ośm funtów — ilość zaś ta w gotowiźnie przedstawia kapitał 1.117 rubli.

Niech mu będzie na zdrowie!

Szkoda tylko, iż sędziwy statystyk nie obliczył ile razy... kichnął!

Sędziwy tancerz. „Bohemia“ opowiada, że w tych dniach w gospodzie pod Chotikami, można było widzieć 106 letniego gospodarza Jana Maleka z Weseli, hulającego w najlepsze z młodymi uczestnikami odbywającej się tam zabawy zapustnej. Malek nawet po trzykroć solo tańczył naokoło sali. Dzielny ten starzec codziennie odbywa pieszo półtora milową drogę do miasteczka za zakupnem żywności, którą sam sobie gotuje w domu. Widzi jeszcze tak wybornie, że nawet igłę nawleka z łatwością.

Korona żelazna lombardzką zwana, którą niesiono za trumną, w czasie pogrzebu Wiktora Emanuela, składa się ze zwyczajnego dość szerokiego złotego pierścienia, do którego przymocowany jest dyadem. Złoty ten pierścień otacza drugi „żelazny“ pierścień, który podług podania, zrobiony jest z gwoździ Krzyża św. Tradycya mówi, że św. Helena kazała z tych gwoździ zrobić żelazną koronę dla cesarza Konstantyna, który nosił ją na helmie, póżniej korona ta dostała się papieżowi Grzegorzowi. Ten miał zaofiarować ją królowej Teodolindzie, która złożyła ją w skarbcu kościoła w Monza, z warunkiem, ażeby następcy jej koronowali się zawsze tą koroną. Jakoż w kolei czasów Karol Wielki miał się nią koronować. Ostatni monarcha, który włożył ją na głowę przy swem wstąpieniu na tron, był Ferdynand I. cesarz austryacki w r. 1838. Napoleon I. także w r. 1805 ozdobił swe czoło w Medyolanie tym historycznym klejnotem.

Oryginalny pomysł. „Newyork Herald“ z dnia 24. grudnia 1877 r. zamieszcza szczególną w swoim rodzaju odezwę pastora Dawida Rosenberga, który z kilkoma swymi kolegami zwołuje na dzień 18-go lutego b. r. międzynarodowy kongres w Baltimore.

Udział w nim mają przyjąć wszyscy neofici, — z całego świata zgromadzeni żydzi, którzy na wiarę katolicką przeszli, a zarazem ci, co nazwiskiem lub fizyognomią zdradzają swoje żydowskie pochodzenie.

Celem kongresu mają być: wspólne praktyki religijne i modlitwy o nawrócenie reszty nieochrzczonych wyznawców religii Mojżeszowej, a potem wezwanie wszystkich rządów o zakupienie wspólnie Palestyny i wydalenie do niej wszystkich tych, którzyby się zmianie swego wyznania opierali!

Tożby się dopiero Europa wyludniła!

Szkoda tylko, że szanowny wnioskodawca amerykański nie rozebrał w tym wypadku kwestyi długów wekslowych, która z jego projektem w ścisłym związku pozostaje. Ktoby je starozakonnym wierzycielom miał spłacić?

O uroczystościach hiszpańskich, z powodu zaślubin króla hiszpańskiego, korespondent „Timesa“ donosi pod

d. 28 stycznia rb. co następuje: „Wczoraj wieczorem wyjechałem z Madrytu, celem przepędzenia kilku dni w Andaluzyi. Uroczystości już się skończyły i oprócz walki byków nie przedstawiały one nic ciekawego i oryginalnego. Koncerty i zabawy były takie same jak w całej Europie. Wyścigi konne odłożono z powodu, że hippodrom dotąd nie jest jeszcze gotów, zresztą jakiż interes mogą obudzić zwykłe wyścigi konne po walce byków? Co do mnie, bardzo wątpię, żeby wyścigi zyskały kiedykolwiek popularność w Madrycie. Kiedy więc tym sposobem skończyły się ludowe uroczystości w Madrycie, wyjechałem z tego miasta, pełnego jeszcze wrzawy i wesela, w tem przekonaniu, że Korduba, Grenada i Sewilla więcej mi przedstawiają danych do obserwacyi. Wprzód nim opiszę te uroczystości królewskie, pozwólcie mi opowiedzieć jeden epizod z walki byków, który był może najoryginalniejszym rysem takowych. Pewien matador, siedmdziesięcioletni starzec, nazwiskiem Salamankino, postanowił wziąć udział w walce byków. Figurował on jeszcze na uroczystościach weselnych królowej Izabelli i od dawna nie występował publicznie. Obecnie jednak w tak ważnej dla Hiszpanii chwili porzucił swe ciche schronienie, wystąpił na arenę w niebieskich sukniach, obszytych suto srebrem, siwe włosy miał zawiązane w tyle głowy w jeden pęk, na śnieżnej białości koszuli zawiesił purpurową chustę. W chwili, gdy wpuszczono na piasek areny czwartego byka, Salamankino zbliżył się do loży królewskiej prosząc o dozwolenie stoczenia walki z rozjuszonym zwierzem. Wszyscy t. z. torreros otoczyli go celem obrony starca. Byk rzuca się na siwowłosego matadora, który stanął trzymając w jednej ręce czerwoną chustkę w drugiej miecz. Rozpoczyna się walka — ale z początku Salamankino zdaje się ulegać, nogi pod nim drżą, ręka słabnie. Byk po dwakroć rzuca go na ziemię — i wszyscy sądzą, że matador został zabitym. Ale nie, powstaje i znowu rozpoczyna walkę. Z amfiteatru rozlegają się krzyki „Fuera!“ — i tłum potrząsa chustkami, wzywając matadora, by zaprzestał walki. Starzec atoli pragnie jeszcze raz zerwać uparcie ostatnie dla siebie laury. Ale los nie sprzyja mu — po siedmiu chybionych atakach, byk według obyczaju został uznanym za zwycięzcę i wyprowadzony przy okrzykach ludności z areny a przeciwnik jego okryty gwizdaniem.“

Tak się bawią ludzie w 19 wieku w ucywilizowanej Europie.

Marszałek Mac-Mahon odmówił podpisania dekretu mianującego Wiktora Hugo kawalerem wielkiego krzyża legii honorowej.

Tak więc Wiktor Hugo nie będzie na stare lata kawalerem, a zatem nie będzie już mógł się ożenić. Jakże by to było pięknie, gdyby tak głośny republikanin mógł przyczepić sobie blaszkę na piersiach, którąby go odróżniała od innych śmiertelników. Mac-Mahon widocznie skąpszym jest od cara, który rozdaje wielkie i małe krzyże na wszystkie strony.

OJCIEC SECCHI.

Od kilku lat śmierć czyni ogromne spustoszenia pomiędzy znakomitościami świata; dla astronomów szczególniej ostatnie lata były niefortunne. Hansen, Mädler, Struve, Sir John Herschel, Argelanver, Heis, Leverrier, Littrow — mężowie, których nazwiska nierozdzielnie w pierwszej połowie naszego stulecia wiązały się z postępem nauki, przestali pracować dla niej i ustąpili z miejsca dotąd przez nikogo z godniejszych niezajętego.

Na ostatek nadeszła jeszcze smutna wiadomość z Rzymu o śmierci ojca Secchi, papieskiego astronoma przy obserwatoryum Collegio Romano, jednego z pierwszorzędnych badaczy nieba i specyalisty bez rywala w swoim zawodzie.

Angelo Secchi urodził się 29. czerwca 1818 r. w Reggio, w Lombardyi; wrodzona skłonność do stanu duchownego i okoliczności zniewoliły go wstąpić do zakonu jezuitów, gdzie też obudziły się w nim ogromne zdolności do nauk przyrodzonych i matematycznych.

Jako nauczyciela matematyki i fizyki wysłano go do Georgetown-College w Waszyngtonie, a około r. 1858, po śmierci dyrektora papieskiego obserwatoryum, de Vica w Rzymie, ofiarowano tę posadę Secchiemu.

Obserwatoryum Collegio Romano od czasu swego założenia przeznaczone było głównie dla badań w dziedzinie astronomii fizycznej i rozwiązania owych zagadnień, które się do zewnętrznej strony ciał niebieskich odnosiły. Za owych czasów, kiedy średniej wielkości teleskopy, dzisiaj dość licznie w prywatnem posiadaniu rozpowszechnione, należały do skromnych życzeń niejednego obserwatoryum, w Collegio Romano znajdował się już duży teleskop systemu Cauchoix, przy pomocy którego de Vico czynił swe głośne naówczas spostrzeżenia, dotyczące krążenia Wenery i księżyców Saturna.

Kiedy Secchi obejmował swoją nową posadę w Rzymie, należał on jeszcze do całkiem nieznanych osobistości w świecie uczonych i powątpiewano z początku, czy wysoko, jako człowiek i badacz szanowany, de Vico znajdzie w Secchim godnego następcę.

W przeciągu lat kilku usunięto pod tym względem wszelkie wątpliwości, a sława obserwatoryum papieskiego wzrosła dzięki znakomitemu dyrektorowi i rozeszła się daleko i szeroko po świecie.

Jak we wszystkiem, tak i w astronomii, podział pracy jest koniecznym. Minęły czasy, kiedy umysł jednego człowieka mógł był objąć cały ogrom tej najtrudniejszej umiejętności; ostatnim z owych genialnych ludzi, którzy zdołali opanować cały ten przedmiot, był Bessel; lecz takich wyjątków niewiele naliczyćby się dało, a dziś przy tak olbrzymim zakresie wiadomości astronomicznych. — niepodobieństwem by było posiąść je wszystkie i wszystkiemi jednako się zajmować. Specyalne działy w tym przedmiocie wzrosły do tego stopnia, że chcąc się w nich dobrze rozeznać, potrzeba często życie całe poświęcić jednej wyjątkowo gałęzi. Rachunek i teorya zajmują też przeważnie jednych, część fizyczna — drugich.

Niedawno zmarły Leverrier zasłynął w pierwszym dziale, ojciec Secchi zaś jako fizyk-astronom w swej specyalności należy do najwybitniejszych mężów nauki. Sprzyjające warunki klimatyczne i dokładne narzędzia umożebniły mu traktować przedmiot z całą ścisłością i zamiłowaniem, któremu nauka zawdzięcza tak znakomite rezultaty, jak zmierzenie tak zwanych „gwiazd podwójnych“, zbadanie Saturna i jego pierścieni, Jowisza z księżycami, przyczem się pokazało, iż trzeci satelita Jowiszowy mniej czasu potrzebuje do obrotu około swej osi, niżeli do okrążenia głównego planety. Morza i lądy na Marsie, ogromny krater nazwany Kopernikiem na księżycu, liczne mgławice i nowe odkrycia, były przedmiotem długich badań rzymskiego astronoma, które wszelako wobec analizy spektralnej ciał niebieskich i zadziwiających jej wyników, ustąpić muszą.

Secchi zapuścił się w głąb wszechświata i badać począł za pomocą widma świetlnego chemiczny skład gwiazd.

Już w r. 1867 podał spectra przeszło 500 gwiazd stałych, zebrawszy tym sposobem ogromny materyał do ważnych wniosków. I pokazało się dzięki jego badaniom, że całe gwiaździste przestworze da się pod względem fizykalno-chemicznym na cztery zasadnicze klasy podzielić, z których pierwsza zawierałaby przeważnie gwiazdy biało świecące, najwyższą temperaturą odróżniające się od innych.

Rozkładając promień świetlny rozmaitych gwiazd, przekonał się, iż w atmosferze Marsa znajdować się musi para wodna; również wykazał odmienny stan Jowisza, Saturna, Uranusa i Neptuna i wielu innych większych planet, pozwalający wnosić, iż do dzisiejszego dnia zachowały one część pierwotnego żaru w sobie.

Słońce było też szczególniejszym przedmiotem badań i rozwagi wielkiego astronoma, a dzieło jego o słońcu przyniosło mnóstwo nowych spostrzeżeń i wniosków nowych i zajmujących.

Jakkolwiek ta działalność byłaby zupełnie wystarczyła do zapewnienia ojcu Secchi nieśmiertelnej sławy w dziedzinie astronomii, to żarliwość do nauk znakomitego męża zgotowała dlań jeszcze jedną kartę prawdziwych zasług w przedmiocie fizyki tellurycznej; szczególniej zajmowały go objawy elektryczności i magnetyzmu.

Zauważył on, że pewne nadzwyczajne zboczenia magnetycznego naprężenia stoją w pewnym związku z meteorologicznemi zboczeniami; później przekonał się, że podczas pogodnych wieczorów, odznaczających się właśnie owem magnetycznem zboczeniem, ziemia bywa nadzwyczaj silnie elektrycznością naładowana.

Codziennie ośm razy, między godziną 7-mą rano a 9-tą wieczorem, notował z wszelką akuratnością stan elektryczności z atmosferze, a obok tego zajmował się badaniem wszystkich meteorologicznych zjawisk, lecz znużony tą drobiazgową pracą, postanowił jej w jakikolwiek sposób zaradzić.

Jenialny umysł jego okazał się twórczym nawet na polu mechaniki. Ojciec Secchi złożył własnego pomysłu aparat, zastępujący z wszelką dokładnością działalność dziesięciu ludzi.

Zadziwiający ten przyrząd notuje ściśle i wiernie wszystkie zboczenia barometru, termometru, ombrometru, psychrometru, anomometru i innych narzędzi fizykalnych przedstawiając porównawczo san temperatury, ciśnienie atmosfery, siłę i kierunek wiatru, ilość deszczu i wilgoci powietrza i t. p.

Jest to przeto aparat wszechstronnej działalności do użytku naukowego. Co trzeba było w nim jeszcze poprawić, ojciec Secchi niezmordowanie poprawiał, dodawał, upraszczał konstrukcyę, aż wreszcie podczas drugiej wystawy paryskiej, w dziale włoskim podziwiano powszechnie cudowny ów przyrząd, przy którym uprzejmy wynalazca, we wszystkich cywilizowanych językach, dawał każdemu ciekawemu widzowi stosowne objaśnienia, przesiadując przez kilka godzin dziennie przy swojem arcydziele.

Rzeczywiście ojciec Secchi potrafił w swoim wynalazku, nazwanym meteorographem upostaciować niejako mechanicznego sekretarza rozmaitych sił przyrody, który kilkunastoma rękami zapisuje bezustannie wszystkie najlżejsze zmiany meteorologiczne, najmniejsze opadnięcie lub wzniesienie się żywego srebra w barometrze. Co więcej, oznacza siłę wiatru i czas spadania deszczu!

I tak umysł jednego człowieka w tylu kierunkach znakomite przynieść umiał rezultaty: czy kiedy zgłębiał tajniki przestworza, czy kiedy zastanawiał się nad objawem sił przyrody, czy kiedy zaciekał się w rachunkach i wymierzał południki naszej kuli ziemskiej, lub wreszcie sięgał do warstatu mechanika. A obok tego wszystkiego, wielki uczony, pierwszorzędny specyalista, umiał jeszcze poświęcać czas na tworzenie dzieł rozumowanych, jak np. o jedności sił w przyrodzie.

Ktokolwiek obznajomiony jest z postępem nowożytnych nauk, ten wie jaka głębia wiedzy i umiejętności przegląda w tem dziele. *K. War.*

Od Redakcyi.

Wny Wł. H. w Drohobyczu. Pisma Dzierzkowskiego kosztują obecnie 14 fl.

Treść Nr. 29.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.